W numerze: KAROL BADZIAK *Na gruzach zrodzone* • TERESA WOJCIECHOWSKA *Wielki smutek w polskiej modzie* • KONRAD FREJDLICH *Debiut edytora* • *Mąż trwale nieobecny* • *Melpomena w ogniu* • *Wędrówki naszych filmów* • *Nowela kryminalna*

odgłosy

15. III. 1970 r.
11 (643)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot. W. Pirys

JAN KOPROWSKI

Spotkanie w Bukareszcie

Mieliśmy pecha: w piątek 20 lutego samolot nie odleciał z Warszawy do Bukaresztu i wcale nie było pewne, czy odleci nazajutrz. Zawieje śnieżne i mgła uniemożliwiły komunikację powietrzną. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu w porcie lotniczym na Okęciu powróciliśmy do hotelu, aby następnego dnia rano udać się w podróż pociągiem. Jechaliśmy do stolicy Rumunii przez Lwów, Tarnopol, Stanisławów, Kołomyję i Czerniowce bite dwadzieścia pięć godzin. I chociaż mieliśmy wygodny przedział sypialny, zmęczyliśmy się setnie, a i nuda zaczynała nam doskwierać. Bukareszt przywitał nas deszczem i chłodem, jednakże z dnia na dzień stawało się cieplej, śniegu na ulicach było coraz mniej, a na dwa dni przed naszym powrotem do kraju zapanowała piękna pogoda. Było sucho i ani śladu zimy w mieście.

Pojechaliśmy do Bukaresztu na spotkanie przedstawicielstw związków pisarzy krajów socjalistycznych, które już od lat siedmiu odbywają się rokrocznie — za każdym razem w innej stolicy. W obecnym, ósmym z kolei, bukareszteńskim spotkaniu wzięły udział delegacje pisarskie z Bułgarii, Czechosłowacji, Kuby, NRD, Mongolii, Rumunii, Węgier, ZSRR i Polski, którą reprezentowali: Józef Lenart, Leopold Lewin, Władysław Machejek oraz piszący te słowa. Celem tego spotkania była wymiana informacji o sytuacji w literaturach poszczególnych krajów, informa-

Dalszy ciąg na str. 3

Papier rośnie w lesie

Z NACZELNYM DYREKTOREM ZJEDNOCZENIA PRZEMYSŁU CELULOZOWO-PAPIERNICZEGO W ŁODZI JERZYM OLEJNICZAKIEM ROZMAWIA WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

— Na łamach prasy krajowej raz po raz ukazują się publikacje dotyczące zagadnień przemysłu celulozowo-papierniczego. Również i nasze pismo pragnie zapoznać swych Czytelników z niektórymi problemami tej gałęzi gospodarki narodowej.

Czy zechciałby Pan powiedzieć, Panie Dyrektorze, jaką pozycję wśród innych przemysłów w kraju, zajmuje przemysł celulozowo-papierniczy?

— Z pewnością zaskoczę pana, jeśli powiem, że nasz przemysł już od dawna należy do najbardziej zmechanizowanych i kapitałochłonnych w kraju. Jeszcze parę lat temu byliśmy w pierwszej dziesiątce najpoważniejszych przemysłów w Polsce, uwzględniając takie wartości, jak majątek trwały, wartość produkcji czystej, zużycie energii itd. Obecnie, niestety, spadamy na dalsze pozycje, ze względu na wolniejsze tempo rozwoju w stosunku do innych przemysłów, uznanych za rozwojowe i podstawowe. Mimo to na dal stanowimy ważną gałąź gospodarki narodowej.

W bieżącym roku wartość brutto majątku trwałego naszego przemysłu wyniesie około 18 miliardów, a wartość produkcji całkowitej — około 14 miliardów złotych. Wartość jednego stanowiska pracy wynosi około pół miliona złotych, a wydajność pracy jednego zatrudnionego, w skali roku — około 400 tysięcy złotych. Wymienione wartości są dwukrotnie wyższe od średnich krajowych.

— Jakie ilości wyrobów papierniczych produkują nasze fabryki?

— Około miliona ton papieru i tektury rocznie. Wspomnę na marginesie, iż „przeciętny" zakład — przeciętny oczywiście w cudzysłowie — wytwarza około 100 ton celulozy i około 150 ton papieru na dobę.

— Czy przemysł papierniczy nadąża za potrzebami rynku?

— Nie, nie nadąża, pokrywając 85 procent potrzeb rynku krajowego. W porównaniu z latami przedwojennymi przemysł papierniczy zwiększył produkcję czterokrotnie. Mimo to, już od roku 1966, produkcja nie nadąża za wciąż rosnącym popytem. Z roku na rok zwiększamy import wyrobów celulozowo-papierniczych.

— A pozostałe piętnaście procent?

— Musimy, niestety, importować. Obciąża to gospodarkę narodową sumą 40 milionów dolarów rocznie.

— Jak kształtuje się wielkość produkcji naszego przemysłu celulozowo-papierniczego na tle produkcji światowej?

— Zarówno pod względem wielkości produkcji jak i zużycia wyrobów papierniczych zajmujemy jedno z ostatnich miejsc na liście rozwiniętych krajów świata. W Stanach Zjednoczonych zużycie papieru na jednego mieszkańca wynosi 220 kilogramów rocznie, w Europie zachodniej — 80 i w Europie środkowej — 50 kilogramów. Na tym tle nasze 33 kilogramy na jednego mieszkańca wskazują na spory deficyt w tym zakresie i nakazują podejmowanie wysiłków w kierunku nieustannego zwiększania produkcji. Warto jednak w tym miejscu przypomnieć, iż w roku 1938 zużycie wyrobów papierniczych w Polsce wynosiło 7 kilogramów na jednego mieszkańca.

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Rzadko się zdarza, aby cotygodniowy przegląd aktualiów międzynarodowych można było rozpocząć od zdecydowanie optymistycznego akcentu. Tym razem jest to możliwe, ponieważ w ubiegłym tygodniu — 5 marca — UKŁAD O NIEROZPRZESTRZENIANIU BRONI JĄDROWEJ uzyskał moc prawną. W Moskwie i Waszyngtonie złożono do depozytu dokumenty ratyfikacyjne tego układu. Przy tej okazji premier Kosygin wygłosił przemówienie, ilustrujące zabiegi Związku Radzieckiego o wyeliminowanie z arsenału środków militarnych broni masowego niszczenia.

Układ o nieproliferacji, który udało się wynegocjować po długim okresie, podpisało dotychczas prawie 100 państw, ponad 40 natomiast ratyfikowało go. Jego istota, (to tylko gwoli przypomnienia Czytelnikom), sprowadza się do nieprzekazywania tej broni, w sposób bezpośredni lub też pośredni, krajom jej nie posiadającym oraz zobowiązania przez te ostatnie, iż nie będą jéj produkować ani nabywać.

Zbrojenia, ich eskalacja — to jeden z najpoważniejszych problemów współczesnego świata. Pisaliśmy o tym wielokrotnie. W tym ogromnym kompleksie broń jądrowa — z uwagi na jej niszczycielską siłę — stanowi zagadnienie szczególne. W 1963 roku położono pierwszą tamę na drodze jej wykorzystania w celach militarnych — podpisano układ o częściowym zakazie prób. Teraz uczyniono kolejny krok: broń ta nie może być rozpowszechniana. Nie eliminuje to wprawdzie niebezpieczeństwa wojny termojądrowej, ale z pewnością niebezpieczeństwo to ogranicza. Obecnie sprawą niezmiernej wagi jest osiągnięcie porozumienia o zaprzestaniu wyścigu zbrojeń rakietowo-jądrowych, po czym — być może — udałoby się podjąć w sposób konkretny rozmowy o powszechnym rozbrojeniu.

Nie chcemy budzić nadmiernego optymizmu w tej dziedzinie, chcemy jednak podkreślić, iż mimo złożoności problemów współczesnego świata, postęp w kierunku zahamowania militarnego współzawodnictwa o przewagę jest możliwy.

Przejdźmy jednak od perspektywicznych rozważań do dnia dzisiejszego. Komentarza doprasza się przede wszystkim sytuacja WE WŁOSZECH.

W ub. tygodniu pisaliśmy o rezygnacji Rumora z misji utworzenia nowego rządu. Roli tej podjął się warunkowo polityk chadecki, trzykrotny premier rządu centrolewicowego — Aldo Moro. Wybór jego nie jest dziełem przypadku. Moro znany jest z dużych zdolności mediacyjnych. Prasa włoska podkreśla, że jeśli jemu nie uda się zmontować nowego gabinetu, znaczy to, iż możliwość taka w ogóle nie istnieje. Wówczas pozostaje tylko rozpisanie nowych wyborów powszechnych. Za taką ewentualnością opowiada się podobno prez. Saragat.

Mieliśmy już okazję pisać, że napięcie społeczne i polityczne we Włoszech spowodowane jest głębokimi sprzecznościami, jakie istnieją między strukturą władzy a dążeniami społeczeństwa. Tej sytuacji nie są w stanie rozwiązać żadne doraźne kompromisy. Kryzys rządowy nie budzi więc we Włoszech większego zainteresowania. Pasjonuje on tylko kierownictwa partii politycznych centrum, którym wygodnie byłoby utworzyć gabinet, oparty na czteropartyjnej formule i które obawiają się nowych wyborów. Te bowiem mogą przynieść zwiększenie stanu posiadania Włoskiej Partii Komunistycznej. UPI przypomina w związku z tym, iż wszystkie powojenne wybory wykazywały wzrost wpływów komunistów w parlamencie.

Być może, że czas jaki upłynie od oddania komentarza do druku do jego ukazania się na łamach „Odgłosów" wyjaśni, czy Moro znajdzie klucz do utworzenia rządu. U progu jego misji szanse oceniane były zaledwie na 20 proc. A więc raczej ewentualność nowych wyborów.

Z innych bieżących wydarzeń, których życie polityczne nam nie szczędzi, omówimy jeszcze sytuację w LAOSIE. Coraz częściej na łamach prasy pojawia się pytanie, czy Laos nie stanie się drugim Wietnamem?

Pytanie to uzasadnione jest wzrostem amerykańskiej interwencji w tym kraju. Ma ona być odpowiedzią na zwycięską ofensywę laotańskich sił patriotycznych. Amerykańskie samoloty w wyzwolonych rejonach zmiotły z powierzchni ziemi ok. 16 tys. osad. Tylko w ciągu ostatnich 10 dni lutego, według oficjalnych źródeł zachodnich, zrzucono ok. 18 tys. bomb.

Historia Laosu bardzo przypomina dzieje Wietnamu. Również w tym kraju Stany Zjednoczone całkowicie zingnorowały Układy Genewskie. W dwa lata po ich podpisaniu, USA jednoznacznie opowiedziały się za prawicą laotańską. Doszło do rozłamu między trzema ugrupowaniami: lewicą Neo Lao Haksat, grupą neutralistyczną i prawicą co, pierwsze z nich wyeliminowało z rządu.

Ponownie rozpętana została wojna, a do Laosu — z przeznaczeniem na rozprawienie się z siłami patriotycznymi — szerokim strumieniem napływać zaczęły dolary i broń.

Przed rokiem Stany Zjednoczone zdecydowały się na znaczne nasilenie bombardowań wyzwolonych rejonów kraju. Ich zaangażowanie wzrosło do takiego stopnia, iż senator Fulbricht dostrzegł podobieństwo do sytuacji w Wietnamie.

Ostatnie dni potwierdzają, że USA wpełzają coraz bardziej w konflikt. Niebezpieczeństwo „drugiego Wietnamu" jest przeto więcej niż realne.

W. SŁAWSKI

ZDZISŁAW STRZĘPEK

NUKLE-ZNACZY JĄDRO

Określenie „energia jądrowa" budzi na ogół niepokój i strach. Właściwie nigdy nie kojarzy się nam z czymś pozytywnym, niosącym ludziom korzyści. Tymczasem okazuje się, że stanowi ona coraz większe źródło elektryczności służącej człowiekowi. Ba — to energii jądrowej ma przypaść zadanie uratowania ludzkości przed brakiem paliwa.

Eksperci szacują, że węglowodorów — węgla, ropy naftowej i gazów — starczyłoby ludzkości jeszcze tylko na ok. 75 lat. Tym bardziej, że już nie tylko chodzi o przekształcenie ich masy w energię (spalanie), ale również o zastosowanie, jako surowca w wielkiej chemii, która może zrobić z nich właściwie wszystko — lekarstwo, bluzkę, mebel, statek... Węglowodory trzeba więc zachować, oszczędzać, a energii szukać gdzie indziej.

PRĄD Z ATOMU

Według pisma „Nucleonics" na świecie działa już, bądź jest w stadium budowy (i ruszy do 1972 r.), 113 elektrowni atomowych. Wiele z nich powstało dla celów eksperymentalnych, są małe, służą nauce. Jednak dają już 6 proc. energii elektrycznej zużywanej na świecie. Do 1980 r. moc zainstalowana w elektrowniach atomowych wzrośnie kilkakrotnie.

Już buduje się elektrownie o mocy — ponad 500 megawatów, zaś projektanci pracują nad jej podwojeniem. Im zresztą większa jest siłownia, tym tańszy daje prąd. Jest to sprawa bardzo ważna, gdyż „elektryczność atomowa" ciągle jeszcze jest droższa, niż wytwarzana na bazie ropy czy węgla.

Pierwszym Anglikom udało się barierę tę przełamać. Reaktory jądrowe, jako „fabryki prądu", będą zatem wyrastać o wiele szybciej.

Tempo to jest różne w różnych krajach. Liczy się sytuacja energetyczna — potrzeby, zasoby tradycyjnych surowców, koszt ich eksploatacji, możliwości i wykorzystanie energii rzek. Jedne kraje muszą rozwijać szeroko program atomizacji energetyki, inne — o tyle, o ile potrzebne im są doświadczenia.

I tak np. Polska i ZSRR mają duże zasoby węgla, przy tym jego wydobycie jest opłacalne, w przeciwieństwie do Anglii, NRF czy Francji, gdzie trzeba kopalnie zamykać i raczej węgiel importować. W tej sytuacji ZSRR nie akcentuje u siebie rozwoju elektrowni atomowych, choć zbudował pierwszą na świecie (rok 1954, miejscowość Obnirsk, moc 5 megawatów). Obecnie ma ich 8, sytuuje je tam, gdzie dowóz paliwa tradycyjnego jest trudny i drogi. Mają one razem moc ponad 2000 MW. Największa znajduje się na Syberii.

Wykorzystywanie rozpadu jądra atomu, zamiast tradycyjnych paliw widać zwłaszcza w Anglii i NRF. Na Wyspach Brytyjskich działa już 14 elektrowni atomowych, a 2 dalsze są w budowie. W Bundesrepublice pierwsza elektrownia „A" powstała w 1961 r. i miała 15 megawatów mocy. Potem jeszcze wiele lat nic się nie działo, ale w ostatnich trzech latach, wyrosło ich 6, a 5 dalszych jest obecnie w budowie. Natomiast w planie... 16! Za kilka lat „prąd z atomu" stanowił będzie połowę wytwarzanej w NRF elektryczności.

W myśl prognoz prof. Haefle z Karlsruhe wkrótce to źródło energii będzie o wiele tańsze od tradycyjnego! Kapitał więc skrzętnie inwestuje w ten dział. Zresztą i rząd wspiera niemiecką atomistykę dużymi subwencjami (program na lata 1963—72 opiewał na 10 mld marek). NRF w atomistyce staje się więc potęgą.

Nasze kraje sąsiednie, NRD i Czechosłowacja, mają już po jednej elektrowni i budują dalsze. Węgry, Bułgaria i Jugosławia — rozpoczynają budowę. My dotąd nie mamy elektrowni A i na razie takiej budowy nie planujemy. Co nie znaczy, że zaniedbaliśmy atomistykę z jej szerokimi aspektami w gospodarce. Ale o tym w innym miejscu.

EINSTEIN I FERMI

Fundamentem Ery Atomowej była teoria względności opracowana przez urzędnika szwajcarskiego biura patentowego...

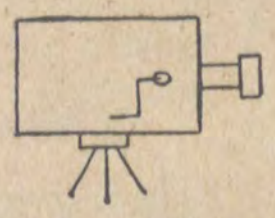

Einsteina w 1905 r. Wielu uczonych fizyków teorię tę uważało za czystą spekulację, jednak kolejne odkrycia zaczęły ją potwierdzać. Równowartość masy i energii oraz przechodzenie materii z jednego stanu do drugiego, okazały się prawdą. Obecnie dla całkowitego zweryfikowania się teorii Einsteina brak tylko potwierdzenia na istnienie „promieni grawitacyjnych". Wszyscy ich szukają, ale ciągle bezskutecznie.

Rozbicia jądra atomu po raz pierwszy dokonali dwaj Niemcy — Hahn i Strassann. Było to w 1938 r. Nie potrafili jednak wyjaśnić tego zjawiska. Wnioski praktyczne wyciągnął fizyk włoski, Fermi, który pracował w USA. W 1942 r. w hali kortów tenisowych w Chicago zbudował pierwszy w świecie reaktor jądrowy. Bardzo prosty — pręty metalicznego uranu osłonięte blokami grafitu. Fermi jest więc praktycznie ojcem energetyki jądrowej (nukle — jądro, stąd energia nuklearna).

Okazało się, że spośród różnych pierwiastków występujących w przyrodzie, powolnymi neutronami dają się rozbijać jedynie jądra uranu U-235. Przy ich rozbiciu powstaje sporo ciepła, które można użyć np. do produkcji pary i napędu elektrowni. Jednocześnie w czasie rozczepiania jądra powstawał nowy pierwiastek, pluton (Pu-239), który mógł być użyty ponownie, jako paliwo, gdyż dał się rozczepiać.

W uranie naturalnym jest bardzo mało takich atomów uranu, które mają w jądrze po 92 protony i 143 neutrony (a więc razem 235 cząstek). Atomy te stanowią zaledwie 0,7 proc. rud uranowych. Na uzyskanie 7 gramów paliwa uranowego, trzeba przerobić 4 tony rudy. Zwie się to wzbogacaniem uranu, wymaga wielkich instalacji i dużo kosztuje. Ale z kolei te 7 g. daje tyle energii co 7 ton ropy naftowej, najlepszego z węglowodorów.

Od reaktora w Chicago, gdzie łańcuchowo rozpadały się jądra uranu, do wybuchu atomowego, a więc rozpadu całej masy jąder w jednym czasie, był już tylko krok. Dokonano go w Los Almas w USA. Przy ustalaniu tzw. masy krytycznej, która wywoła lawinę, potężną dawkę promieni otrzymał pewien inżynier (Amerykanin rosyjskiego pochodzenia). Zmarł jako pierwsza ofiara broni „A".

I dzisiaj każde państwo, które używa uranu w reaktorach atomowych, może właściwie bombę zbudować. To już tajemnica poliszynela. Rzecz w tym, aby mieć dosyć uranu lub plutonu. Z tym, że z plutonu powstają bomby słabe, takie jakie USA zrzuciły na Hiroszimę czy Nagasaki, a więc liczone w kilotonach NTN. Wobec potęgi bomb wodorowych, zwanych inaczej termojądrowymi, jest to zero. Mają one siłę tysiące razy większą. Można budować bomby 300-megatonowe! Ale to już inna historia.

CZY BĘDZIE SŁOŃCE NA ZIEMI?

Wybuch termojądrowy polega na łączeniu się jąder atomów lekkich, np. wodoru, a raczej jego izotopu deuteru, zwanego „ciężkim wodorem". Powstaje przy tym energia wprost kolosalna, a więc i siła niszcząca. By się lekkie jądra zaczęły łączyć, trzeba je ogrzać do... milionów stopni C. W bombie „H" dotąd robi to wybuch bomby „A", która jest jakby zapalnikiem.

Zatem droga do reakcji termojądrowej prowadziła zawsze przez uran i jego drogą obróbkę. Stąd bomby były drogie i trudne. Okazuje się jednak, że obróbka uranu szybko tanieje, np. przez zastosowanie metody wirówki gazowej. Anglia, Belgia i NRF wspólnie budują wielkie zakłady według tej metody. To już obniży koszt broni jądrowej. Jeszcze większe znaczenie ma zastosowanie laseru, jako „zapalnika" do bomby „H". To by już w ogóle wyeliminowało drogi i rzadki w przyrodzie uran.

Właśnie sprawa „zapalnika" oraz wolnego, kontrolowanego tempa łączenia jąder lekkich, czyli reakcji termojądrowej, stanowi główny problem w zastosowaniu tego ogromnego źródła energii dla potrzeb ludzi. Bombę „H" mamy, ale elektrowni „H" nie. Futurolodzy przewidują, że ok. 1990 r. problem zostanie rozwiązany. Człowiek zyskałby niewyczerpane źródło energii. 1 kg wodoru dostarczy prawie 100 mln kilowatogodzin, natomiast 1 kg benzyny daje tylko 13 kilowatogodzin.

Prąd powstaje w wyniku wirowania magnesów w prądnicy. Prądnicę obraca rozgrzana para. Paliwa dotąd, służą do uzyskania pary. Okazuje się, że można prądnice zarzucić i wychwytywać elektrony wprost z atomów i wpuszczać do transformatorów. Rzecz jest realna. Nie

sie kolosalne oszczędności, bo i całe urządzenia elektrowni okazują się zbędne, a przy tym nie ma strat energii (teraz straty wynoszą 60 i więcej procent!).

Inny, już w skali przemysłowej realizowany sposób produkcji prądu z atomu, bez prądnicy, to ogniwa jądrowe, czyli coś na wzór wkładów do baterejek. Są produkowane seryjnie w USA i ZSRR. Ostatnio, takie, z których prąd płynie do 25 lat bez przerwy. To właśnie takie atomowe elektrownie zawieźli Amerykanie na Księżyc do zasilania aparatury.

Jak wspomniałem zrobić broń „A" jest coraz łatwiej. I Polska — wg ekspertów zachodnich — ma tę możliwość. By więc przerwać rozprzestrzenianie się tej groźnej broni, ONZ powołał Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (MAEA) z siedzibą w Genewie. Ma ona już 101 członków, ale kontroluje tylko 8 proc. z przeszło 750 reaktorów istniejących w 30 krajach. Chodzi o to, by świat używał uranu do celów pokojowych, a nie dla produkcji broni. Temu celowi służy też konwencja o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

ATOMISTYKA POLSKA

Od 11 lat działa u nas reaktor atomowy w Świerku, do którego w br. przybył tamże drugi. Kolejny powstanie pod Poznaniem. Urządzenie do przyśpieszania cząsteczek istnieje w Bronowicach pod Krakowem, w Łodzi mamy zakład do badania cząsteczek wielkich energii. Mamy w kraju dwa instytuty — badań jądrowych (IBJ) i fizyki jądrowej (IFJ), szereg innych placówek wraz z zakładem przerobu rud uranowych. Ponadto w ramach RWPG nasi naukowcy realizują badania w ZIBJ w Dubnej pod Moskwą.

W ramach MAEA polscy atomiści wspólnie z norweskimi i jugosławiańskimi opracowują wyznaczone tematy badawcze, aby następnie w trakcie międzynarodowej konferencji podzielić się wynikami z pozostałymi krajami. Wiele wyników badań naszych fizyków jądrowych zostało już zastosowanych w przemyśle, rolnictwie, medycynie, nauce. Atomistyka weszła szeroko do służby społecznej — od badań geologicznych po stymulowanie wzrostu roślin i plazmowe lancety.

Edward Ciuksza

Fot. G. Puciato

22 lutego odszedł od nas na zawsze Edward Ciuksza, popularny i ceniony kompozytor, dyrygent i kierownik artystyczny Orkiestry Mandolinowej Polskiego Radia w Łodzi. Urodzony w Wilnie, po wojnie zamieszkał w Łodzi, tutaj przez wiele lat pracował, tworzył, działał. Kultura muzyczna straciła w Nim znanego i utalentowanego twórcę popularnej muzyki rozrywkowej.

Spotkanie w Bukareszcie

Dalszy ciąg ze str. 1

cja o przebiegu przygotowań do 100 rocznicy urodzin Lenina, a wreszcie sprawa współpracy pomiędzy krajami naszego obozu i z takimi organizacjami międzynarodowymi jak COMES i PEN-Club. Zastanawialiśmy się, czy na znak protestu nie należałoby zerwać z Comesem, którego działalność w ostatnim okresie budzi wiele zastrzeżeń, ale w końcu zwyciężył pogląd, że „tam gdzie nas nie ma, wchodzi wróg", wobec czego podjęcie decyzji w tej sprawie odłożono do przyszłego spotkania, które odbędzie się w Moskwie w 1971 roku.

Gospodarze zdołali wytworzyć znakomitą atmosferę i zapewnili zjazdowi właściwą oprawę. Wystawa książek rumuńskich, tłumaczonych na inne języki (w tym również na język polski) oraz książek innych krajów (w tym również i naszego) na rumuński unaoczniła wszystkim w sposób niezbity, że chociaż wiele jest jeszcze w tym względzie do zrobienia, to przecież to, co już zrobiono, napawa dobrą nadzieją i zapewnia warunki dalszej współpracy. Telewizja i radio bukaresztеńskie dawały codziennie obszerne sprawozdania z obrad i dyskusji, a przyjęcie delegacji przez Nicolae Ceausescu było widomym dowodem, że władze rumuńskie nadały temu międzynarodowemu spotkaniu pisarzy wysoką rangę. Nicolae Ceausescu, po wygłoszeniu kilku słów powitania do pisarzy, podchodził kolejno do delegacji poszczególnych krajów i rozmawiał z nimi na tematy związane z literaturą i rolą pisarza w społeczeństwie. Z naszą delegacją przywódca rumuński rozmawiał dwadzieścia minut.

Jeśli chodzi o same obrady, za jedno z najciekawszych wystąpień uznałbym przemówienie przewodniczącego delegacji węgierskiej, wybitnego prozaika i dramaturga — Jozsefa Darvasa. Powiedział on między innymi: „Literatura ma tylko wtedy wartość polityczną, jeśli jest dobra pod względem artystycznym. Treści polityczne, wyrażone nijako, nie mają większego znaczenia. Nasza wzajemna informacja literacka jest, po pierwsze, powierzchowna, a po wtóre — niedostateczna. My socjaliści, działamy powoli, oni, nasi przeciwnicy, działają szybko. W ostatnim czasie odeszło od nas kilku wybitnych postępowych pisarzy. Musimy się nad tym zastanowić. Musimy głębiej analizować sytuację. Trzeba się zastanowić, czy ruch nasz nie jest zagrożony przez stagnację. Potrzeba nam większej odwagi i większej ofensywności. Naszą słabością jest nasza opieszałość".

Najdłuższe przemówienia wygłaszał reprezentant Kuby, Luis Rivera Suardiaz (zwany przez nas żartobliwie Jezus Maria Rodriges), który w powodzi słów wypowiedział zdanie godne zapamiętania. Oto ono: „Łączy nas to, że wszyscy mamy złą dramaturgię". Zwrócił na siebie uwagę inny przedstawiciel delegacji węgierskiej, Imre Dobozy, mówiący dowcipnie i z fajerem. Bowiem na ogół mówcy byli niezwykle pryncypialni. Godzi się wspomnieć, że przewodniczący naszej delegacji, Józef Lenart, wygłosił przemówienie, które spotkało się z uznaniem. Głównie dlatego, że mówił szczerze, bez klajstru i nadmiernego optymizmu. Ładnie mówili Rosjanie. Są to, jak się wydaje, urodzeni mówcy, którzy posiedli wszelkie arkana tej sztuki. Powszechną uwagę zwracał na siebie przedstawiciel Mongolii, profesor P. Rincen. Długie, białe włosy, białe wąsy i biała broda nadawały mu wygląd patriarchy, a długa delia, przepasana pasem wybitym ozdobnymi ćwiekami, czyniła zeń postać nie ledwie egzotyczną. Z prof. Rincenem mogliśmy rozmawiać po polsku, bowiem język nasz zna on znakomicie. Dość powiedzieć, że jest tłumaczem „Pana Tadeusza" na mongolski (fragmenty jego tłumaczenia ukazały się w głównym czasopiśmie tego kraju). Po zakończeniu konferencji w Bukareszcie prof. Rincen udał się w podróż do Warszawy, a stamtąd do Moskwy, gdzie jego syn pracuje obecnie w ważnym instytucie o charakterze międzynarodowym.

Delegacja Związku Literatów Polskich: (od lewej) Józef Lenart, Leopold Lewin, Władysław Machejek, Jan Koprowski.

Mieliśmy dość okazji, aby zarówno w czasie konferencji jak i w kuluarach, a także w porze obiadów i spotkań w poszczególnych ambasadach na przyjęciach wchodzić w bliższe kontakty z delegacjami. Rozmów było wiele i sposobności do wymiany poglądów — pod dostatkiem. Okazało się przy tym, że nietrudno o wspólny język. Nieporozumienia powstają na gruncie nieznajomości i braku informacji. Z chwilą gdy dochodzi do kontaktów i wzajemnego poznania, pierzchają uprzedzenia, a rodzi się potrzeba przyjaźni i bliższych związków pomiędzy ludźmi. W tym też duchu wypowiedział się w końcowym, zamykającym obrady przemówieniu prezes Związku Pisarzy Rumuńskich, zarazem przewodniczący delegacji rumuńskiej i przewodniczący zjazdu — Zaharia Stancu, autor znanych i cieszących się w Polsce powodzeniem powieści „Bosy", „Psy łańcuchowe".

Zajęci na obradach mieliśmy niewiele czasu na dokładniejsze obejrzenie miasta. Ale, że mieszkaliśmy w samym sercu Bukaresztu (hotel „Athenee . Palace"), każdej wolnej chwili szliśmy na Bulwar gen. Magheru i Aleję Victoriei — dwie najokazalsze arterie stolicy Rumunii, aby przyglądać się domom, sklepom i barwnemu ruchowi ulicznemu. Jednego popołudnia zwiedziliśmy nowe osiedla mieszkaniowe (nawiasem mówiąc, w Bukareszcie bardzo wiele się buduje). Budownictwo mieszkaniowe jest tu solidne, wydaje się, że solidniejsze niż u nas.

O Bukareszcie mówi się (a przynajmniej mówiło do niedawna), że to „Paryż północy", tak jak Warszawę nazywano „Paryżem wschodu". Nie trzeba jednak tych obiegowych opinii brać na serio. Ani Bukareszt, ani Warszawa nie są podobne do Paryża, mają swój własny charakter i urodę. Nie ulega wątpliwości, że Bukareszt, liczący obecnie blisko dwa miliony mieszkańców, należy do piękniejszych miast w Europie, widoczne na każdym kroku elementy stylu orientalnego przydają mu swoistego uroku.

Szokujące dla przybysza z Polski jest spotkanie z językiem rumuńskim. Od razu pierwszego dnia kupiłem sobie gazetę „Informatia Bucurestiului", w której uderzył mnie w oczy wybity grubymi czcionkami następujący tytuł: „Dupa grafic sau dupa... toane?" Okazało się, że znaczy to po prostu: według planu czy według kaprysu? Każdy język ma swoje zakamarki, niedostępne i niepojęte dla przedstawicieli innego obszaru językowego. Język rumuński mówiony przypomina mi język włoski, wciąż miałem to wrażenie, gdym przysłuchiwał się ludziom prawiącym żywo między sobą.

Gościnność wydaje się być przyrodzoną cechą mieszkańców Rumunii. Mogliśmy jej doświadczać zarówno w czasie pobytu w Bukareszcie, jak i później, gdy po zakończeniu konferencji, pojechaliśmy do miejscowości wypoczynkowej Sinaia, położonej w malowniczej dolinie Alp Transylwańskich. Pojechaliśmy tam zresztą na krótko, zaledwie na jeden dzień, ale i to wystarczyło, aby poznać piękno tego kraju. Droga do Sinai prowadzi obok słynnego Zagłębia Naftowego, wzdłuż drogi, dobrze utrzymanej, pełno malowniczych domków, zupełnie jak z baśni albo z dekoracji teatralnej. Wiem, że inne części Rumunii nie są tak malownicze i tak zasobne, a domy nie tak pięknie utrzymane. Ale każdy kraj ocenia się nie wedle tego, co jest złe lub jeszcze kuleje, lecz wedle tego, co jest w nim najlepsze. Podczas pobytu w Bukareszcie mieliśmy bardzo żywe i owocne kontakty z naszą polską ambasadą. Ambasador, Jaromir Ochenduszko, znany mi jeszcze z czasów, gdy był redaktorem „Przeglądu Kulturalnego", jest chyba jednym z najmilszych ludzi w służbie dyplomatycznej. Przyjazny i życzliwy ludziom podbił całą naszą delegację swoją serdecznością, a jego orientacja w sprawach rumuńskich była nam wielce pomocna. Z jego też inicjatywy odbyło się spotkanie z pracownikami ambasady, na którym Józef Lenart mówił o sytuacji w środowisku pisarskim. Leopold Lewin — o sztuce przekładu, Władysław Machejek — o czasopiśmiennictwie literackim, a wyżej i niżej podpisany — o literaturze okresu międzywojennego. Tematy powyższe wybrali sobie sami pracownicy, po naszych wypowiedziach wywiązała się ciekawa (choć krótka, z braku czasu) dyskusja.

Jak oceniłbym wyniki bukareszteńskiej narady pisarzy krajów socjalistycznych? Po pierwsze: była ona bardzo potrzebna, gdyż istnieje wiele spraw wspólnych, wymagających omówienia i wyjaśnienia. Po drugie: kontakty nasze, acz kolwiek z roku na rok coraz lepsze, wciąż jeszcze są niewystarczające. Po trzecie: różnice jakie się ujawniły (źle by było, gdyby ich nie było), nie odnoszą się do spraw podstawowych i zasadniczych. Dotyczą one środków i metod działania, a nie sporów o charakterze merytorycznym.

Delegacja polska, działająca na rzecz konsolidacji naszych związków, wypełniła, jak mogę sądzić, swoje zadania w sposób zadowalający.

JAN KOPROWSKI

Listy do Redakcji

JESZCZE O PLACU WOLNOŚCI

Nie przypuszczałem, że wrócę jeszcze do zagadnienia przebudowy Placu Wolności, który przed piętnastu laty był jednym z najważniejszych problemów konserwatorskich na skalę ogólnopaństwową. Ponieważ w tych czasach nie było jeszcze miejskiego konserwatora zabytków, sprawa ta podlegała mej kompetencji jako wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Na wstępie należy zaznaczyć, że założenie urbanistyczne Placu Wolności należy do najbardziej oryginalnych w Polsce. Przeznaczony był na zabudowę dwukondygnacyjną z dwoma budynkami reprezentacyjnymi: ratuszem i kościołem. Przy zabudowie małomiasteczkowej plac robił wrażenie bardzo rozległego. Również pomnik Kościuszki był zsynchronizowany z niską zabudową Placu.

Ponieważ stan budynków mieszkalnych był bardzo krytyczny inż. J. Korski opracował w latach 1952—53 projekt przebudowy Placu, który uzgodniony z Woj. Konserwatorem Zabytków przewidywał podwyższenie zabudowy mieszkalnej o jedno piętro, przy równoczesnym zadaszeniu ceramicznym. Według tego projektu został przebudowany dom narożny u wylotu ul. Obr. Stalingradu, mieszczący kawiarnię „Sim". Z uwagi na potrzeby rozrastającego się Muzeum Archeologicznego wyraziłem zgodę na nadbudowę tzw. jatek, pomimo zastrzeżeń ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki. W związku z tym zleciłem inż. E. Budlewskiemu opracowanie projektu nadbudowy „jatek" z zastrzeżeniem, że budynek ma być dwupiętrowy z wysokim dachem, krytym dachówką. Tymczasem autor projektu sugerując się wskazówkami ze strony Dyrekcji Muzeum, zmienił samowolnie dokumentację, doprojektowując III piętro przy dachu płaskim, co zupełnie pozbawiło budowlę charakteru tradycyjnego, bez nadania mu jednak cech nowoczesnej architektury. Niezależnie od tego Wydział Budownictwa Prezydium Rady Narodowej. m. Łodzi zlecił nowe opracowanie zabudowy Placu Wolności przewidujące zabudowę placu pięciopiętrowymi nowoczesnymi blokami, przy równoczesnym burzeniu całej istniejącej zabudowy poza d. ratuszem i kościołem garnizonowym. Charakterystyczna była tu wypowiedź prof. Skibniewskiego na posiedzeniu Komitetu Urbanistyki i Architektury przy omawianiu projektu. Miano wicie na moje przedstawienia że wysoka zabudowa Placu Wolności przekreśli zupełnie dominantnę ratusza najciekawszego zabytku architektury dawnej Łodzi prof. Skibniewski oświadczył ironicznie że jeżeli ratusz łódzki jest takim klejnotem budownictwa to mogę go przenieść do Ozorkowa który nie posiada ratusza. Ponadto oświadczył że jest wprost ubliżającą rzeczą dla Łodzi żeby główny plac miasta posiadał tak skromną zabudowę. Tak więc ignorancja i brak jakiegokolwiek zrozumienia i sentymentu dla przeszłości miasta wydały nieodwołalny wyrok na najpiękniejszy zakątek Łodzi który był niejednokrotnie miejscem wielu wydarzeń historycznych.

Powołanie w roku 1963 miejskiego konserwatora zabytków uwolniło mnie od dalszego zajmowania się tym zagadnieniem a miałem przy tym nadzieję, że nowy konserwator nie mający na swym terenie zbyt wielu problemów, zajmie się z większym zapałem obroną Placu Wolności. Stało się jednak inaczej.

W międzyczasie zwolennicy modernizacji Placu przeprowadzili wyburzenie kilku kamienic, pomimo, że były uznane za obiekty zabytkowe, rzekomo ze względu na ich stan techniczny, ale chodziło tu o postawienie opinii miasta wobec faktu dokonanego, bo przecież pozostałe kamieniczki stoją do dnia dzisiejszego, choć stan ich nie jest bynajmniej lepszy od tych, które padły ofiarą kilofa. Może nie wracałbym do tych przedawnionych problemów, gdyby nie świeżo wydana książka Wacława Kondka „Ulica Piotrkowska" z przedmową zapalonego entuzjasty przeszłości Łodzi Tadeusza Chróścielewskiego. Otóż zarówno Kondek jak Chróścielewski zwracają uwagę zarówno na architektoniczne walory zabudowy ul. Piotrkowskiej utrzymanej w stylu zrehabilitowanej dziś „Secesji", jak i ścisłe powiązanie z historią miasta. Stąd postulat obu autorów, by utrzymać w miarę możności istniejący charakter zabudowy i nie dopuścić do zbanalizowanej „modernizacji" zabudowy ul. Piotrkowskiej, której szerokość zresztą nie pozwala na zabudowę wyższą jak czteropiętrową.

Gdy więc z takim i słusznym zapałem broni się tej unikalnej arterii wielkomiejskiej, to bolesnym nieporozumieniem urbanistycznym, byłoby dopuszczenie do przebudowy Placu Wolności, który jest jakby wrotami ulicy Piotrkowskiej.

ZBIGNIEW CIEKLIŃSKI
B. wojew. konserwator zabytków woj. łódzkiego

Papier rośnie w lesie

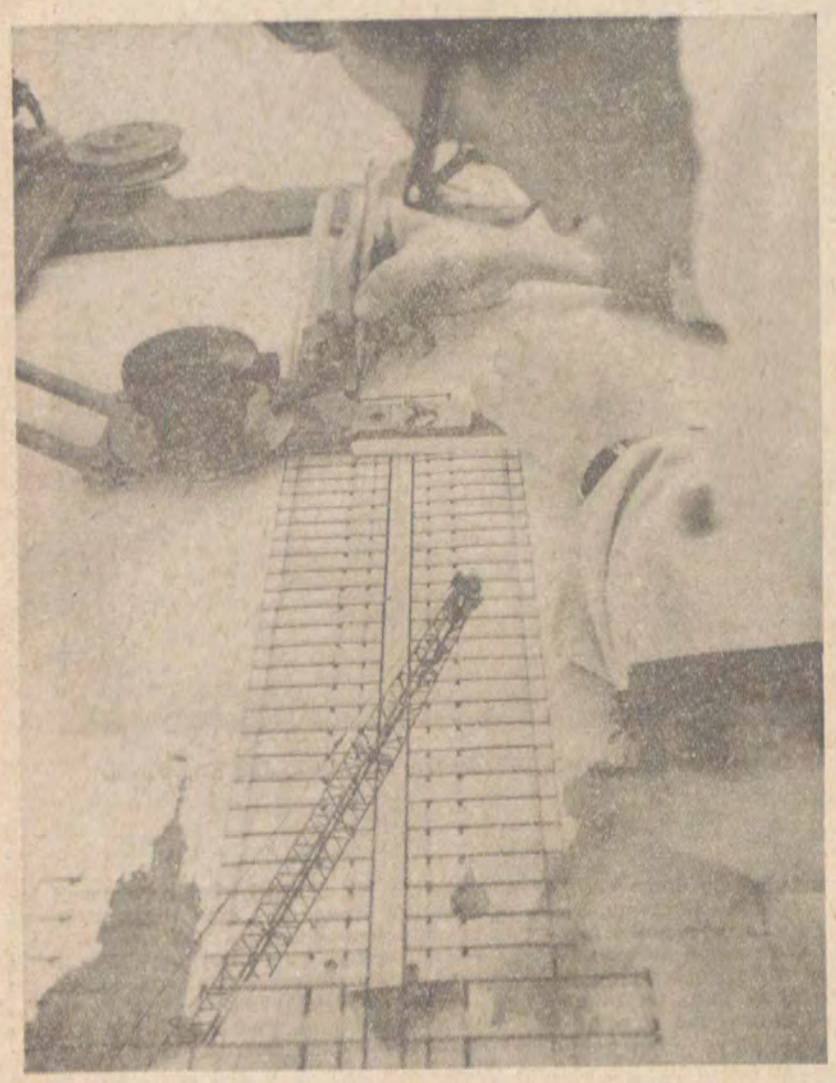

Dalszy ciąg ze str. 1

— Jakim parkiem maszynowym dysponuje zjednoczenie?

— Maszyny papiernicze należą do długowiecznych. Obok nowoczesnych agregatów, pracują również i stare maszyny, a wśród nich nawet staruszki, liczące sobie po 80 lat. Wymagają one nieustannej troski i specjalnej opieki. Dzięki staraniom własnego, szeroko rozbudowanego zaplecza remontowo-technicznego i sprawnym warsztatom przyfabrycznym starzeją się one stosunkowo wolno. W zakresie remontów skomplikowanych agregatów i urządzeń technologicznych jesteśmy zdani wyłącznie na własne siły.

— Czy istnieją przesłanki dla dalszego rozwoju przemysłu celulozowo-papierniczego i zlikwidowania deficytu, o którym pan wspomniał?

— Nie tylko przesłanki. Istnieją realne warunki rozwoju tej gałęzi gospodarki narodowej. Układ elementów, warunkujących ten rozwój jest dla nas na ogół pomyślny. Mamy krajowe surowce, mamy bazę maszynową, zdolną — jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w dużym procencie — pokryć potrzeby inwestycyjne naszej branży, mamy też odpowiednie kadry fachowców.

— Mówi się nieraz i pisze, że właśnie surowców krajowych nie mamy.

— Wiem o tym, ale jest akurat odwrotnie. Wbrew pesymistycznym wypowiedziom niektórych działaczy gospodarczych i publicystów drewno dla przemysłu papierniczego jest i będzie go coraz więcej. To prawda, że w naszej strukturze leśnej istnieją przejściowe niedobory drewna grubego, czyli wyższej klasy wieku. Mówiąc potocznie — starszego. Ale jest to drewno przeznaczone dla potrzeb tartaków. Nasz przemysł przerabia, mówiąc ogólnie, drewno cienkie, więc to, co pozostaje po odcięciu od grubszej części drewna, która idzie do tartaku, oraz drewno uzyskiwane z normalnych, pielęgnacyjnych trzebieży lasów. Niewątpliwie, musimy oszczędzać nasze lasy, podnieść ich średnią wieku do granic optymalnego przyrostu, to jest do 50—60 lat. Ale oznacza to tylko, że trzeba poczekać na drewno tartaczne. Natomiast drewno cienkie i żerdzie nie tylko można, ale należy wydobywać z lasów, choćby dlatego, by uchronić lasy od degeneracji. Polscy i zagraniczni fachowcy wyrażają opinię, że wiele naszych lasów wymaga niezwłocznej trzebieży.

— Gdyby więc zwyciężyła teza obrońców lasów, przemysł celulozowo-papierniczy nie miałby perspektyw rozwojowych przynajmniej do roku 2000?

— Mniej więcej. W dodatku konsekwencje owej polityki spowodowałyby ogromne straty, bowiem import za 10—15 lat kosztowałby nas rocznie 120—140 milionów dolarów.

— Drugim elementem, warunkującym rozwój produkcji — o którym pan wspomniał — jest nowoczesny park maszynowy. Unowocześnienie bazy technicznej w przemyśle celulozowo-papierniczym nie jest chyba sprawą prostą, biorąc pod uwagę, że chodzi tu przecież o wielkie, skomplikowane i z pewnością bardzo kosztowne agregaty i urządzenia technologiczne?

— Tak, w związku z tym stanie przed nami wiele trudnych problemów. Mamy jednak pomyślne perspektywy unowocześnienia naszej bazy technicznej. Krajowy przemysł maszynowy usamodzielnia się coraz bardziej i buduje doskonałe, nowoczesne maszyny papiernicze na licencji. Mając właściwy stosunek do naszych potrzeb, przemysł maszynowy mógłby również w 50—60 procentach, zaopatrzyć nasze celulozownie w nowoczesne urządzenia i uniezależnić nas od importu.

— A sprawa kadr?

— Tutaj sytuacja jest całkiem jasna. Kadry mamy dobre. Zatrudniamy ponad pół tysiąca inżynierów różnych specjalności o średnim stażu około ośmiu lat. Posiadając szerokie zaplecze naukowo-badawcze, że wymienię: katedrę technologii celulozy i papieru oraz katedrę maszyn papierniczych Politechniki Łódzkiej, Instytut Celulozy i Papiernictwa w Łodzi oraz WSR w Poznaniu i WSI w Bydgoszczy — jesteśmy pewni dalszego dopływu kadr inżynieryjnych. Nasze potrzeby określamy na dwudziestu kilku inżynierów technologów rocznie.

— Pozostaje jeszcze wcale niebagatelna kwestia środków finansowych na te cele.

— Tak. Oczywiście. Tylko sprecyzowałbym to nieco inaczej: jest to kwestia złożonych względów ekonomicznych. Zaraz wyjaśnię, co mi leży na sercu. Utarła się z gruntu niesłuszna opinia, że przemysł celulozowo-papierniczy jest nierentowny. Ten błędny wniosek wysnuwa się na podstawie wyników finansowych przemysłu, w oparciu o obecne relacje cen. Niemal wszystko, czego przemysł potrzebuje — kupuje po cenach zbliżonych do relacji cen światowych. Natomiast swoje wyroby sprzedaje innym przemysłom w kraju po cenach około 30 procent niższych od relacji cen światowych. Stąd, przy ogólnej wartości globalnej wyrobów naszego przemysłu, wynoszącej ca 10 i pół miliarda złotych rocznie, nasza akumulacja wynosi zaledwie 1,4 miliarda złotych. Ponieważ na remonty i inwestycje rozwojowe przemysł celulozowo-papierniczy wydaje co roku w przybliżeniu te same kwoty, przeto jest on finansowo samowystarczalny, posiada jednak stosunkowo niską produktywność i rentowność w porównaniu z innymi przemysłami.

Rzecz jednak w tym, że naszą rentowność przechwytują inne przemysły, które nabywają wyroby papiernicze po cenach zaniżonych o wspomniane już 30 procent. Tymczasem, gdyby przeliczyć nasze wyroby na ceny światowe, więc na takie, jakie płacimy za importowany papier, to globalna wartość produkcji przemysłu papierniczego wyniosłaby około 14 miliardów złotych, nasza akumulacja finansowa wzrosłaby do około 4,8 miliarda złotych i po opłaceniu własnych kosztów rozwoju przekazalibyśmy państwu około 2 i pół miliona złotych akumulacji.

— Ten zysk istnieje przecież i tak?

— Oczywiście. Tylko jest przekazywany państwu n i e z naszego konta. Nasza sytuacja zmieni się na lepsze w 1971 roku, wraz ze zmianą cen, choć jeszcze nie w pełni odpowiadającą cenom światowym.

Pozwoli to nam na uzyskanie jeszcze jednego argumentu dla dalszego rozwoju naszego przemysłu, aczkolwiek już obecnie nikt jego rozwoju nie kwestionuje, mimo, iż w oficjalnych dokumentach nie jest zaliczony do przemysłów rozwojowych. Wynika to z faktu, że rozwój tych przemysłów musi uwzględniać naszą produkcję.

— Panie Dyrektorze, na jakie ilości surowca liczy przemysł w najbliższych dziesięcioleciach?

— W roku 1980 otrzymamy do produkcji około 6 milionów, a w roku 2000 — około 10 milionów m sześć. drewna. Pozwoli to na wyprodukowanie w r. 1980 — ponad milion siedemset tysięcy ton wyrobów papierniczych, a w roku 2000, około trzech milionów ton.

— Co roku odbywają się szeroko zakrojone akcje zbierania makulatury. Co się z nią dzieje?

— Trafia do nas. Jest drugim podstawowym surowcem dla naszego przemysłu. Obecnie przejściowo makulaturę eksportujemy, ponieważ mamy jej nadmiar.

— Powiedział Pan, że przemysł celulozowo-papierniczy pokrywa 85 procent krajowego zapotrzebowania i że resztę uzupełniamy wyrobami z importu. Czy przemysł dlatego nie produkuje więcej, że brak mu surowca?

— Nie. Drewna by nam starczyło, a makulatury mamy za dużo. Brakuje nam tylko urządzeń, nie mamy odpowiednich mocy produkcyjnych.

— Panie Dyrektorze, czy można uznać, iż jedną z przyczyn braku wyrobów papierniczych na rynku jest nieracjonalna gospodarka tym artykułem przemysłowym?

— Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć obiektywnie, szczególnie w mojej sytuacji. Osądy lub oceny gospodarowania papierem będą zawsze subiektywne i nieraz diametralnie różne. Zależy to od punktu widzenia. W zakresie gospodarowania papierem nie działają, w dostatecznym stopniu, bodźce ekonomiczne. Papier jest tani i w budżecie wielkiego użytkownika, mam tu na myśli różne przedsiębiorstwa i fabryki, pozycja ta nie odgrywa istotnej roli. Nie mamy wpływu na politykę działania wielkiego użytkownika. Czy jest on gospodarny, czy też nie — jego potrzeby musimy zaspokajać. Ponieważ bilanse ciągle się nie zamykają, ograniczamy przydziały papieru na rynek wewnętrzny.

— Jakie osiągnięcia ma przemysł celulozowo-papierniczy na polu postępu technicznego, unowocześnienia produkcji i nowych asortymentów wyrobów?

— Postęp techniczny wprowadzamy różnymi drogami. Otrzymaliśmy na przykład, znakomite wyniki przy zastępowaniu klasycznej papierówki przez cienizne drzewną i drewno odpadowe. Doszliśmy do 28 procent wykorzystania tego surowca zastępczego; żaden kraj nie osiągnął tak wysokiego wskaźnika. Jest to osiągnięcie na skalę światową. Zainstalowaliśmy nowoczesne, wysokowydajne agregaty, które produkują do 300 ton papieru lub kartonu na dobę. Produkcja tylko jednej takiej maszyny zapełnia codziennie 20 wagonów towarowych. Wytwarzamy coraz to nowe gatunki papieru, opanowaliśmy produkcję papieru na laminaty do pokrywania mebli kuchennych, wagonów kolejowych itp. Rozpoczynamy teraz produkcję papierów, które w dużym stopniu zastąpią importowane dotąd forniry. Wprowadzamy na rynek specjalne papiery wodoodporne. W coraz szerszym zakresie automatyzujemy procesy produkcyjne, unowocześniamy remontowane maszyny i urządzenia technologiczne, mechanizujemy transport. Dobre kadry inżynieryjne oraz wystarczające zaplecze naukowo-techniczne rokują sprawne i szybkie wprowadzanie postępu technicznego. Natomiast odczuwamy brak odpowiednich środków finansowych, a więc swobody manewru, ograniczonego limitem wydatków oraz sztywnymi wskaźnikami dyrektywnymi. Na rozwój nowych metod produkcji i nowych technologii wydatkujemy jedną dziesiątą tego, co przemysły papiernicze w krajach przodujących.

— Dziękuję za rozmowę i życzę, żeby przemysł papierniczy znów zajął miejsce w pierwszej dziesiątce najpoważniejszych przemysłów w kraju.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

KAROL BADZIAK

NA GRUZACH ZRODZONE

POCIĄG ŁUKIEM WJEŻDŻA W MIASTO, ROZLEGŁĄ PRZESTRZEŃ ZABUDOWY, W SIEĆ KANAŁÓW NA RZECE, W STRZELISTE WIEŻE WZNIESIONYCH Z RUIN KOŚCIOŁÓW. ZA CHWILĘ PERON DWORCA GŁÓWNEGO. WYSOKO OSZKLONA BUDOWLA.

Pogodny, barwny tłum pochłania mnie i wyrzuca do miasta. „Dobry wieczór we Wrocławiu" — uśmiecha się neon. Wciąga mnie wielkomiejski nurt życia, zgiełkliwy, narzucający przemocą swoje prawa. Półmilionowa metropolia Dolnego Śląska szybko wita i pośpiesznie przesuwa do przodu, amortyzuje wrażenia, majoryzuje wspomnienia.

Zawsze ze wzruszeniem przywłaszczam sobie wzrokiem widok tego miasta. Wiążą mnie z nim dziecięce przeżycia i młodzieńcze doświadczenia. Przejeżdżałem przez Wrocław kilkanaście dni po wyzwoleniu, właściwiej — po odzyskaniu. Utkwił mi na trwałe w pamięci obraz rozgrzanych jeszcze ruin i zniszczeń, swąd spalenizny, posępne oczodoły domów, kikuty okaleczonych świątyń, trupi odór wojny. Miasto było opustoszałe, wymarłe, najżywsze były dworce. Dniem i nocą płonęły ogniska, w kociołkach gotowano strawę. Tak koczowali powojenni nomadzi. Jedni wracali z przymusowych robót, z obozów i niewoli do kraju, drudzy, repatrianci, pionierzy, osadnicy jechali zagospodarowywać odzyskane ziemie. Z perspektywy czasu widać w tym patos, wtedy była to mordęga, niewygody, niewiadoma, nieznane. Jechali najodważniejsi i najbardziej energiczni.

Podczas dnia na ulicach zabarykadowanych gruzami dominowały mundury wojskowe, cywilów spotykało się rzadko. Zostało ich po wojnie w tym prawie dwumilionowym mieście zaledwie kilka tysięcy, w tym połowa to ciężko wystraszeni niemieccy starcy, kobiety i dzieci.

Dowództwo hitlerowskie w przeddzień zakończenia wojny zdecydowało przekształcić Wrocław w twierdzę. Ewakuację kobiet i dzieci zarządzono dopiero w ostatniej chwili. Podczas zimy, silnych mrozów i śnieżyc. Jeszcze jedno zbrodnicze posunięcie. Wielu uciekinierów z przemęczenia, głodu i zimna zmarło w drodze. W chwilach ostatecznej klęski hitleryzm nie oszczędzał nawet swoich. Kiedy na przedmieściach toczyły się krwawe walki, zgoniono tysiące niemieckich kobiet, aby pod gradem kul, bomb i szrapneli porządkowały lotnisko. Odleciały z tego lotniska tylko dwa samoloty. Z generałami i dygnitarzami. Uciekali w popłochu. Ale to nie wszystko, kiedy lotnisko zostało zajęte, hitlerowski komendant wojenny miasta, kazał na obecnym Placu Grunwaldzkim burzyć domy pod nowe lotnisko. W ostatniej chwili odleciał z niego tylko jeden samolot. Z nim samym. Uciekł w popłochu, uciekali w popłochu, ażeby już nigdy tutaj nie powrócić. Najwyżej chyba jako turyści.

Nowy Wrocław powstał z gruzów. Dosłownie. Wojna zamieniła miasto w perzynę. Wrocławska Kartagina liczyła sobie osiemnaście milionów metrów sześciennych gruzu, dwadzieścia jeden tysięcy zburzonych domów, czterysta zabytkowych budowli zamienionych w proch i pył. Dziś to już historia. Mrówczą pracą tysięcy ludzi wymieciono wojenne zniszczenia. Gdzieniegdzie na starym murze znaki po pociskach — pieczęcie minionej wojny.

Przyjemny jest spacer ulicami nowego Wrocławia. Szeroki jest oddech tego miasta. Kiedy minie się ulicę Świerczewskiego, duże kino „Śląsk", skręci w prawo i dojdzie do placu Kościuszki, nowa neonowa propozycja na gmachu Klubu Dziennikarza: „Uśmiech za uśmiech" Parafraza dawnego oko za oko, krew za krew, ząb za ząb.

Od placu Kościuszki do Rynku promenada wrocławska. Na Rynku klejnot architektury: gotycki ratusz z XIII wieku pokryty zieloną śniedzią wieczorem wygląda jak dis-

JERZY URBANKIEWICZ

Melpomena w ogniu

Wbrew przekonaniu, że Łódź to tylko perkale i kamgarny, miasto to od dawna flirtowało z Melpomeną. Najwcześniejsze tło dla tego flirtu stanowiła szopa na rogu Zgierskiej i placu Kościelnego, płonęły później olejowe kinkiety w geyerowskiej sali na Wólce, wielka Modrzejewska urzekała łodzian ze sceny teatru w Paradyzie, amatorzy zgrywali się w domu Baucha przy ul. Piotrkowskiej. Tę część historii teatru łódzkiego nazwałbym jego prehistorią. Nikt nie potrafi dowieść, że wymienione wyżej budynki spłonęły. Aczkolwiek trudno by też było o dowód przeciwny. Ale oto przychodzi rok 1861 i odtąd historia teatru przeplata się z dziejami straży ogniowej.

W wymienionym roku jeden z najbardziej ruchliwych „lodzermenschów", Fryderyk Sellin wybudował przy ul. Konstantynowskiej stajnię dla potrzeb wojska. Kiedy wojsko wyjechało, przerobił ją na teatr. Przez 60 lat swego istnienia dawał on przytułek różnym muzom i różnym zespołom, do tego zaś, co się zdarzyło po upływie owych 60 lat, za chwilę powrócę.

Około roku 1880 na terenie przyległym do hotelu „Victoria" powstał teatr o takiej samej nazwie — w tym miejscu,

gdzie obecnie kino „Polonia". To właśnie ten, który zapoczątkuje osobliwą historię łódzkich „fajerwerków" teatralnych — ale dopiero po upływie ćwierćwiecza. Na razie stoi, a na przypływy i odpływy koniunktury reaguje zmianą właścicieli. Czas pewien należał do Freudenbergów. Jeden z nich zdradził kamgarny dla sztuki i grywał pod pseudonimem Oswald. Znaleziono go kiedyś powieszonego na scenie z nogami zaku tymi w kajdany. Podobno zajmował się spirytyzmem i odebrał sobie życie na rozkaz duchów.

Rówieśnikiem teatru Victoria był niemiecki teatr Thalia. Zbudował go niejaki Vogel. Ale i tu bywały okresy zastoju i trzeba było odnajmować lokal zespołom polskim i żydowskim, a nawet występował tu cyrk. Doszło do tego, że w roku 1885 Vogel musiał ogłosić upadłość i czas jakiś teatr był zamknięty, a na jego drzwi nałożono pieczęcie. Właściciel znalazł jednak wyjście z sytuacji i po pewnym czasie sezon wznowiono — operetką „Gasparone". W okresie jednak, kiedy sali nie wykorzystywano, w jakimś zakamarku zagnieździł się nietoperz, oprzytomniał w czasie I aktu i kiedy pani Krajewska właśnie śpiewała arię: „Nie ma już mężczyzn, ach, nie ma" — zerwał się do lotu i ku radości widowni, miotał się pod sufitem, aż go złapano na galerii. Otóż teatr ten zbudowany został pół na pół drewno z cegłą i oto sobie grun townie przesychał i czekał, kiedy podrośnie tapicer Zientalak i zaprószy ogień.

Zanim jednak to nastąpiło, powstał jeszcze jeden budynek teatralny pod nazwą Teatr Wielki. Wzniósł go ten sam Sellin na tejże samej posesji przy ul. Konstantynowskiej, tuż obok owej sali przerobionej ze stajni.

W ten sposób mielibyśmy gotowe prawie wszystko, co historia teatru łódzkiego przygotowała na pastwę płomieni.

I oto 7 maja 1909 roku o godzinie 2,30 w nocy zapalił się teatr Victoria. Freudenberg niczego na tym nie stracił, bowiem premia asekuracyjna zwróciła mu co najmniej koszty własne, natomiast ówczesny dyrektor teatru, Aleksander Zelwerowicz stracił garderobę własną i garderobę aktorów wartości 9 tysięcy rubli, gdyż ubezpieczone nie były.

W wysiłkach, aby odbudować teatr polski w Łodzi wzięło udział całe społeczeństwo i brać aktorska z całego kraju. Przyjechał wtedy Ludwik Solski z piękną Ireną i na deskach Teatru Wielkiego wystawiono „Wesele", niezwykłe „Wesele", w którym Solski był gospodarzem, Solska — Rachelą, rolę Czepca grał Zelwerowicz, a nie jest wykluczone, że w tym wspaniałym koncercie sztuki aktorskiej wziął też udział młody Jaracz, gdyż grywał wtedy na scenach łódzkich.

Działało Towarzystwo Teatralne, polskie chóry „Lutnia" i „Arfa" dawały koncerty na polski teatr, sprawiemiały pomóc kwiatki i tombole. Wreszcie uzyskano budynek magazynu Towarzystwa Ubezpieczeń „Nadieżda" i tam powstał teatr polski. W tym wyścigu ofiarności społecznej jeden tylko człowiek, nazywany miłośnikiem teatru, Fryderyk Sellin, okazał się handlarzem bez skrupułów i podniósł czynsz do 25 tysięcy rubli rocznie, by uniemożliwić Polakom działalność kulturalną, albo też, by korzystając z koniunktury, odpowiednio zarobić. Dywersja jednak nic nie pomogła i już w październiku tegoż roku Zelwerowicz zainaugurował nowy sezon „Klątwą" Wyspiańskiego.

W dwa lata później, 24 października 1911 roku teatr ten spłonął. Około godziny 1 w nocy stróż zauważył ogień w pobliżu sceny. Akcja ratunkowa była równie nieskuteczna jak w Victorii. Tym razem Zelwerowicz wycofał z Towarzystwa Ubezpieczeń 8 tysięcy rubli. Ale wartość jego spalonego majątku wynosiła podobno 14 tysięcy. W „Gawędach starego komedianta" Zelwerowicz pisze:

„... trudno mi nie zaznaczyć, że w całym życiu byłem wyraźnie związany z żywiołem ognia". „Dość powiedzieć, że na przestrzeni czteroletniego mojego dyrektorstwa aż trzy razy płonął budynek, w którym mieścił się mój teatr, a pożar „Rozmaitości" wybuchł oczywiście w momencie, gdy znajdowałem się w gmachu teatru, załatwiając jakąś sprawę w kancelarii teatralnej. Stąd powstała szeroko w kołach teatralnych rozgałęziona opinia, że moja obecność w teatrze grozi zawsze niebezpieczeństwem pożaru. W związku z tym po pożarze teatru „Rozmaitości" byłem nawet wzywany na przesłuchanie do policji, w czasie którego pan komisarz, choć oględnie i bardzo z daleka, usiłował widzieć we mnie psychopatę, dotkniętego manią podpalania. Nawet dzisiaj zasłyszany sygnał syreny strażackiej budzi we mnie dziwne i wręcz swoiste podniecenie i gdyby nie moje kalectwo, na pewno biegłbym za strażą pożarną, aby przynajmniej sycić wzrok widokiem szalejącego, wspaniałego zresztą żywiołu".

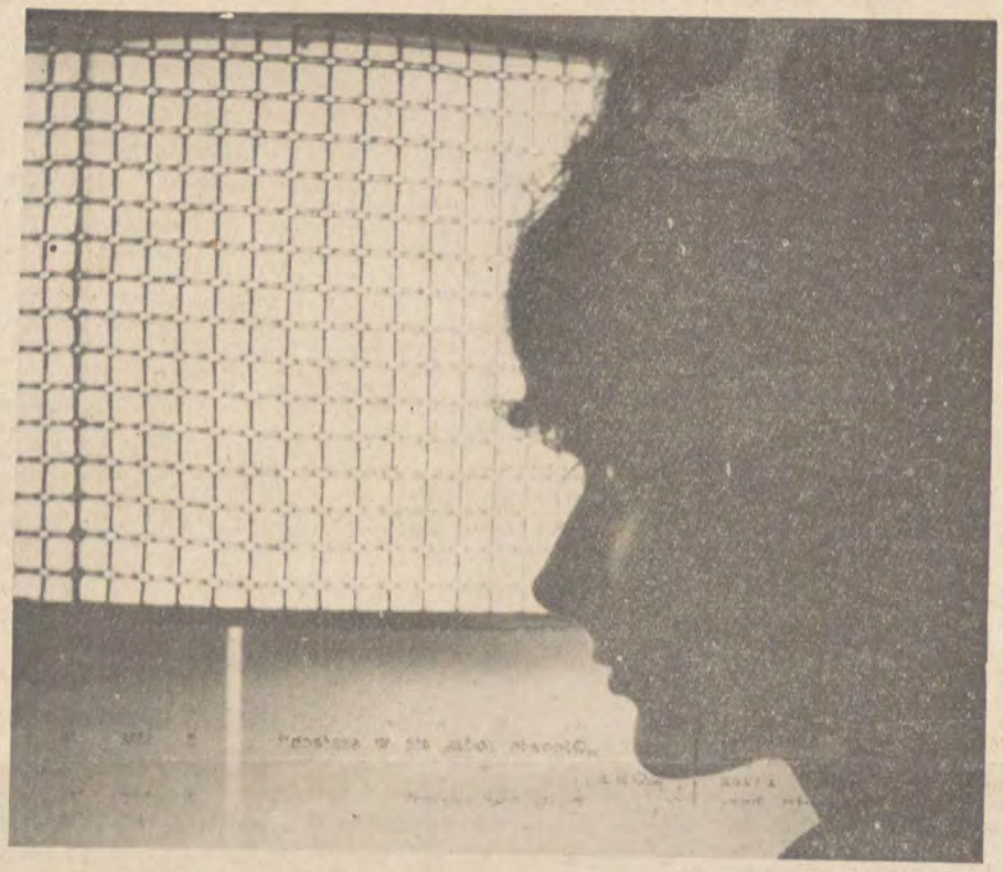

Fot. A. Różycki

W październiku 1920 r. przyszła kolej na Teatr Wielki. Podzielone były zdania co do wartości budynku teatralnego. Ponieważ jego twórca i długoletni właściciel, Sellin prowadził jednocześnie kilka interesów różnej natury, myśl o jednym z nich narzucała się bywalcom teatru uporczywie, mianowicie o prowadzonej przez Sellina restauracji. Używając terminologii dzisiejszej — Sellin „podpiwniczył" swój teatr i pod jego podłogą trzymał zapasy żywności. Toteż czy scena ziała surowością celi więziennej, czy zieleniały na niej ogrody Semiramidy, widzowie zawsze wdychali woń kiszonej kapusty. Z drugiej jednak strony teatr ten miał łącznie 3 tysiące miejsc i kilka sal balowych, toteż sądzić należy, że pod tym względem mało było jemu równych w Polsce ówczesnej.

20 października 1920 roku w rupieciarni za sceną pojawił się ogień, rozszerzył się i strawił doszczętnie rekwizyty, meble, kostiumy i widownię wraz z 3000 krzeseł. Wraz z nim spłonęło też kino — to chyba pozostałość po owej stajni przerobionej na teatr. Widownia teatru była pusta, z sali kinowej usunięto publiczność zaraz po wszczęciu alarmu.

Teatrem który znakomicie przygotowano do tego, by wcześniej lub później spłonął, był teatr Thalia. Jego właściciel — jak wspomniałem wyżej — wzniósł budynek, nie szczędząc drewna, toteż budynek palił się znakomicie. 5 września 1921 roku, kiedy artyści „rozcharakteryzowywali" się po przedstawieniu „Bolesława Śmiałego" Wyspiańskiego, poczuli swąd. Wydobywał się z tapicerni, gdzie tapicer Zientalak zaprószył ogień. Jeden z aktorów próbował puścić wodę z hydrantu, ale wody w nim nie było. Nie znaleziono również dyżurnego strażaka. Po prostu straż odmówiła teatrowi usług, bowiem magistrat zalegał wobec niej z opłatą 4500 marek jeszcze z czasów, kiedy dyrektorem był Zelwerowicz. Gdy strażacy przyjechali z miasta, cały budynek stał w ogniu. Wodę trzeba było sprowadzać z ul. Piotrkowskiej 104, a więc z odległości pół kilometra. To też udało się uratować tylko parę krzeseł empirowych, bibliotekę i dokumenty.

Opisane pożary nauczyły łodzian ostrożności. Jej zachowaniu sprzyjał fakt, że mieliśmy straż najlepszą na świecie. Nie ma w tym stwierdzeniu ani słowa przesady, bowiem w latach dwudziestych odbyły się w Turynie światowe zawody drużyn strażackich i właśnie reprezentacja Łodzi zdobyła tam pierwsze miejsce, bijąc na głowę najbardziej zahartowanych w walce z żywiołem strażaków świata. Nasi zwyciężali nie tylko w konkurencjach przewidzianych regulaminem. W pewnym momencie wybuchnął pożar autentyczny. Widząc bezradność kolegów włoskich, łodzianie podskoczyli i likwidowali ogień. Toteż już w okresie międzywojennym podopieczni świętego Floriana zrozumieli, że łatwiej zapobiegać pożarom niż je gasić.

I oto dochodzimy do czasów nam współczesnych.

Nie powiodło się teatrowi, który dożył lat powojennych pod nazwą „Bagateli". Mieścił się w sąsiedztwie domu Prasy, przy ul. Piotrkowskiej 94, należał do niejakiego Lisnera, a przez cały okres międzywojenny gościł na swoich deskach różne zespoły przyjezdne i wędrowne. Otóż w latach pięćdziesiątych teatr im. Jaracza korzystał z „Bagateli", by niezależnie od zasadniczej działalności wystawiać w niej sztuki małoobsadowe. Właśnie nadchodziła jesień roku 1954, teatr zakończył serię przedstawień sztuki „Imieniny pana dyrektora", zdemontował wszystko, co mu było potrzebne w sezonie letnim i przeniósł się na ul. Jaracza. I oto którejś październikowej nocy grupa młodzieży postanowiła zabawić się — z braku chaty — w przybytku Melpomeny. Było wino i cizie, jedno zaś, czego brakowało, to centralnego ogrzewania. Wobec tego rozpalono na scenie ognisko, a ostatecznie nikt nie jest taki przewidujący, żeby się od razu domyślić, że z tego będzie pożar. A jednak był.

Tak oto wygląda dawna i nowsza historia ognia w łódzkich teatrach.

---

neyowska baśń. W tym rejonie koncentruje się cały Wrocław kulturalny; opera, teatry, redakcje. Ossolineum. Patronuje wszystkiemu pomnik Aleksandra Fredry. Mistrz siedzi na cokole jak u siebie w domu, pogodny i swojski. Drugim pomnikiem postawionym po wojnie w tym mieście jest monument Jana XXIII. Na wyspie na Ostrowiu Tumskim. Wśród licznych świątyń, takich jak Katedra, Kościół Św. Krzyża, Św. Idziego, Kaplica Św. Marcina, będąca częścią dawnego Zamku Piastowskiego, kościół Piotra i Pawła. Najstarsza, oczywiście, jest Katedra ufundowana w 1000 roku przez Bolesława Chrobrego. Wyspę świątyń otulają ramiona Odry. Dostojny, mądry i wielki Jan XXIII nie domyślał się chyba nigdy, że pierwszy pomnik na świecie wystawią mu Polacy na prastarej pogańskiej wyspie wśród kościołów katolickich wydźwigniętych z gruzów wojny. W jednym z nich wojennej burzy oparła się tylko kaplica. W kaplicy tej znajdowała się rzeźba z karraryjskiego marmuru — dziewczyny w stroju topless ze strzelistą piersią. Odważny był biskup, który tę renesansową damę zezwolił wmontować w ołtarz kaplicy.

Ale nie jest to jedyna osobliwość tego miasta. Wrocław posiada wiele rzeczy równie lub bardziej osobliwych, znamiennych, nieporównywalnych i symbolicznych. Choćby most wiszący, jedyny w Europie, Halę Ludową na sześć tysięcy miejsc siedzących i dwadzieścia tysięcy miejsc stojących, Stadion Olimpijski, największy w Polsce, na którym nigdy nie odbyła się olimpiada, największy ogród zoologiczny w kraju, stumetrową słynną iglicę, teatr Grotowskiego, pantomimę Tomaszewskiego, „ELWRO", Panoramę Racławicką, „Archimedesa", Fabrykę Wagonów, nie posiada natomiast niebieskich tramwajów, o których śpiewała niegdyś Koterbska. Tramwaje przemalowano na czerwono.

Jeśli chodzi o Panoramę Racławicką, długo jej jeszcze nie ujrzymy. Budynek, w którym Panorama ma być umieszczona, rośnie powoli. Budują go widocznie fachowcy, którzy wyżej sobie cenią smak piwa przy budce niż smak „sztuki". Miejmy nadzieję, że będzie trwalszy niż ten, który zawalił się na Placu Grunwaldzkim. W międzyczasie powstał hotel szumnie zwany „Panoramą". Nie wielka to panorama, ponieważ posiada zaledwie dwa piętra. Projektowany był, oczywiście, jako wysokościowiec, lecz w trakcie realizacji parę pięter zaoszczędzono. Panienki w recepcji pytają gości: „Pan przyszedł tutaj przenocować, czy pośmiać się?".

Ale żarty na bok. Wrocław jest miastem tak wielkich sukcesów w dziedzinie gospodarki i kultury, że największego mizantropa potrafi wprowadzić w stan zdumienia i zachwytu. Jest to zasługa jego mieszkańców, pionierów polskości, którzy dwadzieścia pięć lat temu przyjechali tutaj zacierać ślady niemczyzny. Kogo wśród nich nie było! Chłopi z Pułtuska, Miechowa, z Gór Świętokrzyskich i z lasów Lubelszczyzny. Robotnicy z Warszawy, Łodzi, Pabianic i Zgierza. Metalowcy ze Starachowic, Pruszkowa i Ursusa. Inteligencja ze Lwowa. Mieszanka demograficzna, piorunująca, wybuchła przyrostem naturalnym, inwencją, talentem, uporem i pracowitością. Sama polskość i fantazja się w tym tyglu warzyły i musowały. Zaledwie w trzy lata po wyzwoleniu, w 1948 roku Wystawa Ziem Odzyskanych udowodniła, że potrafimy być dobrymi gospodarzami. Dalsze lata udowodniły, że potrafimy być znakomitymi gospodarzami tych piastowskich ziem. Więcej jest dziś w polskim Wrocławiu samych profesorów, niż za Niemców było tutaj studentów. Studentów jest zaś trzy razy tyle co w Łodzi.

Wymieszał się naród polski we Wrocławiu, dziś już nie pozna kto, skąd i dlaczego. Powstało społeczeństwo zwarte i jak się to teraz modnie mówi — zintegrowane i zurbanizowane. Demokratyczne od podstaw. Wszyscy bowiem zaczynali od zera, start był więc równy i najsprawiedliwszy. W awansie nie liczyły się rodzinne zasługi. Wszyscy z gruzów wyrastali, prostowali połamane wojną życie swoje i miasta. Nieodłączne w takich procesach męty szybko spływały na margines. Życie rwało zbyt wartkim nurtem, żeby się mogły długo utrzymać na powierzchni. Społeczność tego miasta cechuje wielka dynamika. Prastara uroda Wrocławia dała przybyszom radość życia, która w zmaganiach z materią trudnej rzeczywistości stworzyła nową kulturę duchową, ekspansywną, twórczą, ambitną. To nie przypadek, że Wrocław jest dziś jednym z najbardziej prężnych ośrodków nauki, kultury, sztuki, ekonomiki i polityki w Polsce. Wszystko to z patriotyzmu tutejszych pionierów się zrodziło.

WALDEMAR BABINICZ

MĄŻ TRWALE NIEOBECNY...

— Całą moją trójkę zabrano do Domu Dziecka. Poinformowano mnie o tym w szpitalu, lekarze uprzedzili jednak, że o żadnych wizytach mowy być nie może, wszelkie wzruszenia groziły nowym atakiem. A tymczasem Saturnek odcierpiał swoją karę i zaczął żyć po staremu. Gorzej, bo w więzieniu poznał nowego koleżkę i już razem, rączka w rączkę uprawiali ten swój proceder nabijania kobiet w butelkę. Pewnego dnia Saturnek zgłosił się do Domu Dziecka i zażądał, aby mu oddano najstarszą, wówczas dziewięcioletnią córkę. Podobno były trudności, ale prawo ojcowskie zwyciężyło. Od chwili kiedy Ewunia znalazła się pod opieką ojca, wszelki ślad o niej zaginął. Teraz w opowieści mojej nastąpi gwałtowny zwrot. Państwo zdziwią się niepomiernie, jeśli powiem, że pozostała w Domu Dziecka parka Adaś i Ala znalazły zaraz prawdziwego ojca i opiekuna w więzieniu. I tu właśnie nastąpi dygresja. W miejscowym więzieniu odsiadywał karę dożywotniego więzienia niejaki Zdzisław Leś. Muszę o tym człowieku, którego nazwisko noszę, opowiedzieć nieco dokładniej. W zaraniu naszej niepodległości Zdzisław Leś miał niespełna osiemnaście lat. Wpadł w wir pracy społecznej. Upajał się wolnością, nowymi hasłami, uczestniczył we wszystkich naradach, zjazdach, wiecach, upajał się słowami mówców, cieszył się z każdego sukcesu, szalał, żył pełną piersią, brał wszystko, co dawano wówczas młodzieży, nie żałował pracy, uczył się, odrabiał zaległości, a równocześnie ciężko pracował fizycznie, ażeby, jak mawiał, to świeżutkie, jeszcze nie rozkwitłe państwo, wesprzeć, umocnić. Sam młody starał się pomagać młodszym. Opiekował się kolegami, koleżankami, wszędzie był, wszystkim pomagał, uczynny, energiczny, przedsiębiorczy, żywa płonąca pochodnia. Miał dar pozyskiwania sobie ludzi, z miejsca zdobywał zaufanie, toteż wysyłano go do różnych środowisk, powierzano odpowiedzialne funkcje z których wywiązywał się bez zarzutu. Były to czasy niespokojne, wręcz burzliwe, wielu ludzi przycupnęło w zaciszu, czekali „aż się wyjaśni". Codziennie ginęli najodważniejsi w walkach bratobójczych, skrwawiony, okaleczony naród, nie miał czasu goić ran, na rusztowaniach budowli stawali ludzie ociekający krwią. Tak było. A Zdzicho w tych dniach burzliwych był najodważniejszym z odważnych, wyjeżdżał w misjach specjalnych do najbardziej zagrożonych terenów. Jego uśmiech, szczera otwarta twarz, ufnie patrzące oczy, ulubiona piosenka o „sercu matki, które uczuciem zawsze tchnie", zjednywały mu sympatię nawet wśród wrogów. Schwytany przez bandę leśną i zostawiony pod czujną strażą, potrafił w ciągu jednej nocy przekonać trzech wartowników, których o świcie przyprowadził do najbliższego posterunku upewniwszy się, że podopiecznych nie spotka żadna kara. Nazywano go „apostołem". Wszędzie bowiem gdzie się zjawiał przynosił nowinę. Mówił dosłownie: „wesoły nam dziś dzień nastał, przyjaciele, żadna świnia nie może zakłócić naszej radości. Już nigdy, przenigdy nie zaprzepaścimy wolności." Było w tych słowach tyle żaru, siły, entuzjazmu, że słuchaczy ogarniał szał, gotowi byli za tym młodym człowiekiem o rozwianych włosach i pałających oczach iść na barykady. Dziś słowa te brzmią banalnie, prawda? Ale wówczas brzmiały inaczej w ustach osiemnastoletniego chłopca.

Dwa lata apostołował Zdzicho. Nawracał, przekonywał, wychowywał, pozyskiwał dla kraju, dla sprawy, ludzi słabych, złamanych, podejrzliwych, opornych. Koledzy śmiali się. Powinni ciebie, Zdzichu, skaptować zakonnicy i wysłać do Afryki dla nawracania niewiernych. — Niewierni są wśród nas — odpowiadał. I tu mamy ręce pełne roboty. Jakiś epizod w otoczeniu zwrócił jego uwagę na tak zwane łatwe dziewczęta. Przejął się gorąco. — W naszym kraju nie ma miejsca dla łatwych kobiet. Cóż się stanie z równouprawnieniem? Walczymy przecież o to, aby każda kobieta była rozsądnym, inteligentnym, mądrym, samodzielnym człowiekiem. Szło mu dość łatwo, może i tu działał jego osobisty urok, zdolności przekonywania, a może wyrafinowane uczennice zaczajały się na krótko, czekały na swój dzień.

Ale trafił na jedną, szczególnie perfidną, równocześnie wyjątkowo inteligentną, nie pozbawioną talentów, mądrą ale i do cna zepsutą. Na nic twoje metody braciszku — popkpiwali koledzy. — Przy tobie babka łzy pokutnicze wylewa, włosami proch spod nóg zamiata, serduszko krwią ocieka, wosk, z którego wszystko możesz ulepić. A zniknie sz na kilka godzin, ladacznica się wynurza, ciebie, siebie i wszystkich nas sprzeda. A Zdzicho słucha, głową potrząsa. Gadajcie zdrowi, a ja wiem swoje. Cała rzecz polega na tym, aby jej zaufanie na każdym kroku okazywać, niech czuje że jest pełnowartościowym człowiekiem. — Jak tak to co innego — nie ustępują chłopcy. Tylko że ty nie w gębie jej zaufanie okazuj. — Co macie na myśli? — pyta Zdzicho. — Zwyczajna rzecz — ożeń się z nią. Zdzicho zasumował się. Kilka tygodni chodził jak nieswój, obliczał własne siły, ważył, wreszcie podjął decyzję: „Żenię się braciszkowie". Chłopcy zbaranieli. Lubili go przecież, nie przypuszczali, że żart potraktuje serio. Jęli odmawiać, perswadować. Nie pomogło. Wziął oficjalny ślub. W tydzień później wysłano go na jakieś przeszkolenie. Wrócił po trzech miesiącach. Nim do domu doszedł, kolesiowie przyłapali na drodze. — Chodź wypijemy. Tyle czasu nie widzieliśmy ciebie. — Poszli. W knajpie złożyli obszerne sprawozdanie. — Na nic twoja ofiara, braciszku, wszystko podeptała. Wróciła do swoich praktyk. Nie wierzył. — Rechotali. — To ci dopiero apostoł! Niczego ciebie na tym kursie nie nauczyli. Spalisz się do końca. Chcesz — pójdziemy zaraz do niej, do ciebie, do twojego domu, sam się przekonasz. Wszyscy trzej mieli już dobrze w czubie. Podprowadzili go do drzwi, pomogli otworzyć, w ostatniej chwili broń dali do ręki.

Pan Ubysz zasapał głośno przez nos, zerwał się, popędził do stołu, nalał pełny kieliszek koniaku, podał.

— Niechże pani nie przerywa, niech pani kończy. Zabił? Oddychał coraz szybciej, goście nie spuszczali zeń oczu.

— Oddał trzy strzały — głos pani Lesiowej był zgaszony, ledwie słyszalny.

— Zabił? — powtórzył Ubysz.

— Ją i dziecko. Była brzemienna. Ten trzeci uciekł zdrowy i cały.

— Sprawa ciągnęła się długo. Sąd skazał Zdzicha na karę śmierci. Zamieniono mu karę na dożywocie.

Pani Lesiowa dotknęła puszkiem wyjętym z puderniczki nosa, czoła i nieoczekiwanie dla wszystkich, jakimś oficjalnym tonem obwieściła:

— W polskich więzieniach jest instytucja wychowawców.

Odczekała chwilę, jakby się spodziewała reakcji, ale za chwilę opanowanym, równym głosem narratora, ciągnęła:

— Wychowawcy czuwają między innymi nad samopoczuciem więźniów, starają się, aby skazani na dożywocie mieli jakiś cel w życiu, aby nie popadali w depresję, nie ulegali atakom melancholii, pesymizmu. Zdzichowi przedstawiono listę wychowanków Domu Dziecka i zaproponowano, aby roztoczył nad wybranym zespołem opiekę. Miał wyrabiać dla pupilów zabawki, ilustrować bajki, po prostu chodziło o to, aby pozostawał z nimi w żywym kontakcie. Zdzicho wybrał parę o tym samym nazwisku, później okazało się, że to siostrzyczka i brat, że to właśnie były moje dzieci. Początkowo mniemano, że są to sieroty. Trudno mi było potem dociec skąd powstała pogłoska o sieroctwie. Dość, że zanim opuściłam szpital dzieci wiedziały już wiele o swoim opiekunie, opowiadały sobie o nim fantastyczne historie, jak to dzieci, wrażliwe, o bujnej fantazji. Codziennie coś dodawały do jego życiorysu, aż wyrósł w ich oczach na wynalazcę, na najlepszego w świecie wujka. Postanowiłam podziękować temu dobremu wujkowi. Pierwsze wrażenie wywarło na mnie wstrząsający wpływ,

Nie to było ważne, że kraty, że straż, że atmosfera więzienna, nawet i brak wolności — tego jeszcze za pierwszym razem nie odczułam, nie rozumiałam. Najsilniejsze, co obudziło mnie z odrętwienia, to był jego optymizm. Rzecz nie do wiary: człowiek który wiedział że nigdy nie opuści tych murów zachowywał się tak, jakby sam fakt istnienia przynosił mu szczęście. Z zachwytem opowiadał o moich dzieciach, odnajdywał w nich wartości, o których ja, matka, nie miałam pojęcia, układał plany na przyszłość, marzył o ich wielkiej karierze, obiecywał sobie, że tak pokieruje ich życiem, iż będą to ludzie bez strachu i skazy wybierał dla nich w bibliotece więziennej książki, dyskutował z kolegami o szkolnictwie. Wówczas ja w ogóle nie istniałam, nie liczyłam się, były tylko dzieci. — Zaczęłam chodzić na widzenia z całą trójką — przy dopingu Zdzicha odnalazłam córkę i dowiedziałam się o śmierci męża. Strach powiedzieć, ale owe widzenia, owe rozmowy w więzieniu należały do najszczęśliwszych chwil, do najpiękniejszych przeżyć. Na długo przed tym cieszyliśmy się wszyscy, układaliśmy, o czym będziemy rozmawiać, w jakich sprawach radzić, czym ucieszymy Zdzicha.

Żył z nami. Nosiliśmy mu zeszyty, podręczniki. Wtedy jeszcze sam się uczył. A jakże, proszę państwa, skończył w więzieniu technikum obuwnicze. A wypracowanie z polskiego maturalne pisał o Żeromskim. To jego ulubiony pisarz. We mnie kiełkowało głębokie, prawdziwe wielkie uczucie do człowieka, który do końca życia miał pozostać w murach więziennych. I przyszedł taki dzień, kiedy powiedzieliśmy sobie wszystko, co w takich wypadkach mówią ludzie zakochani. Władze więzienne poszły nam na rękę. Nikt nie czynił trudności. Ślub odbył się w gabinecie naczelnika więzienia. Urzędnik stanu cywilnego zadał nam sakramentalne pytanie niepewnym, załamującym się głosem. Odpowiadaliśmy kolejno, twardo: tak, tak.

Nie było wątpliwości, złączyliśmy się dobrowolnie do końca życia. Dzieci otrzymały jego nazwisko. Więc takie mamy życie. O, już kilka lat, proszę państwa. Owszem, koledzy i koleżanki wiedzą, że tato jest skazany na dożywocie. Moi też. Tak — to nie jest łatwe życie. Na pytanie gdzie mąż, odpowiadam —trwale nieobecny...

Staramy się, ciągle mamy nadzieję, że ktoś nam pomoże, tyle przecież ludzi skazanych za ciężkie przestępstwa wojenne odzyskuje wolność. Może i Zdzicho znajdzie się kiedyś w naszym domu. Gdyby nie jego pomoc dawno bym się załamała. Ślub? Był piękny. Rozumie się, były kwiaty, gratulacje, proste dobre słowa krzepiące. Dzieci nazywają go oczywiście ojcem. Tamtego wykreśliliśmy w ogóle z pamięci. Ciężkie życie — jasne. Takie musiało być — dotknęła końcami palców pręgi na policzku. Przepowiadały mi babki przy skubaniu gęsi. Spełniło się wszystko, co do joty. Nie mam do nikogo pretensji.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Szkic do portretu IV Thomasa Cromwella

My dobrze ułożeni układani czterdzieści wieków
zaczynamy mieć wątpliwości pewnego dnia może
to tylko lenistwo może gra lub podświadomość
każe ale jakże mógłbym postąpić inaczej za
jaką cenę mógłbym być inny niż określa przepis
którego ukształtowały wasze umarłe spojrzenia sam
zmarły rozkładający się cuchnący ale nie inny
zmarły nim narodziła się pierwsza śmiała myśl obciągnięty
we własną skórę i wasze myśli jak uniform nigdy
nigdy nie będę inny zaklinam się po sto po tysiąckroć
będę święty jak ci w dołach przesypanych wapnem
męczennicy
choćby wśród nich i łotr jaki zamieszkał będą święci
wszyscy
zresztą jak mógłbym zerwać się w kostnicy i wybiec
z martwych
a jednak nie będę mógł spać jak nie może podróżny
który
pierwszy raz zaufał skrzydłom powietrza tak
nasza wiara magia w której okowach czuwamy
jest niespełniona i niepełna jak wiedza kiedy myśl
niby eksplorer otwiera coraz dalej nowe daleko
książę jesteś znudzony w salonie pośród grobów
które butwieją i rozkładają się lekko komandor
z opadającym koło uszu tynkiem bakałarz
z podwiniętą wiecznie nogawką i wystającym trokiem
od kalesonów pierwsza dama z zimną mazistą piersią
wojskowi
prości których jak zamek karabinka rozłożysz na
części najgłodniejsi z głodnych którym
chrzęści w szczelnych jednakowych brzuchach tyle
ludzkich kości że żaden cmentarz nawet największy
nigdy ich nie pomieści jedno jest pewne mój portret
będzie
będzie wisiał niezmiennie odkurzany czy zaniedbany na
tym samym miejscu
w zasadzie nie brak mi niczego pieniędzy nade wszystko ja
którego podniebienie własne uwiodło i czyn śmiały
wyniesiony w górę przez tłum który zaledwie o mnie
wiedział
tłum podległy plotce bardziej niż nakazom rozsądku
wybierający władnych niezależnie od podszeptu kaprysu
izolowany szczelnie od wielkich umysłów elity
która równie w okowach zakazów co pogardy
ja nim zacząłem myśleć a już dokonałem i czyn został
w umysłach moich współczesnych czyn który się liczy
jakbym
był dobrze urodzony
„dlatego że jesteś wielkim panem
uważasz się za geniusza szlachectwo majątek stanowisko
urzędy wszystko to czyni cię pysznym cóżeś uczynił dla
uzyskania tych przywilejów zadałeś sobie trud aby się
narodzić
nic więcej"
ja który ryzykowałem raz jeden tylko jeden ja
ufający pałacowej rewolucji (innych nie znałem) syn
bohater ja w białych rękawiczkach szeleszczący
jedwabiem
jak chmura o liście przed burzą ja oślepiający własnym
blaskiem
tych którzy się nudzą moją osobą równie jak własnym
życiem szukający uciech w sexie i polityce ja
zaczynam mieć wątpliwości wszelakie naraz że klapy
marynarki czy nie za szerokie czasem kogo obdzielić
uśmiechem takim lub innym czy kolor kapelusza
stosowny
to znów gonię myślą nieprzespaną głodny czegoś co trudno
określić
nie chcę wyżej ani niżej wejść będę stał na drabinie
solidnej
z lewej strony trochę niżej księcia ale widoczny ja mam
wątpliwości nie wiem co one znaczą wiem że są to
starczy za
wszystko we śnie wschodzi ta głowa samotna twarz bez
oczu bez
nosa jamy ustnej bez twarzy głowa ale bardziej
wymowna niż
miotający słowa jak pociski niż rzucający gromy
wzrokiem wyrzucający gazy zatrute z nozdrzy na
głowę tę chwilową jak światło błyskawic mgnienie
wąż owija się tworząc koronę i jady toczy w mózg
którego nie widać cóż to znaczy zasięgałem rad lekarzy
uczonych i w senniki wgląd nic nie dał nie wiem
i ty Panie nie odpowiesz w którego nie wierzę ale którego
wzywam gdy trzewia moje trawi ból i coraz więcej
wątpliwości
jak dni mi przybywa nic nie wiedziałem nigdy i nie
będę wiedział
na jawie ani w ciemności która przede mną i po mnie
mój mózg jest jak mózg ptaka albo larwy dłonie tylko
dłonie wiedzą muszą być w rękawiczkach teraz kapelusz
ciemno szary
spodnie wyprasowane włos jednak gładziej przyczesany i
albo dla niepoznaki iść w zaułki za księżycem przebrany
słuchać kędy praczki gwar czynią nad rzeką jak ptaki
wodne przed snem i znów mam wątpliwości cóż ja im
opowiem gdy wrócę może prawdę jak poszerzę katalog
tematów
i zwrotów może wyręczy mnie poeta albo któryś z posłów
obcych
u dworu który mówi inaczej niż wszyscy w porcie
wciągają kotwicę czuję
zmianę powietrza łamanie w stawach dzieciństwo miałem
okrutne zapach
tamtych dni kapusta pomyje cebula żelazne naczynia
myślę
że to nie jest ważne przed lustrem pachnie lawendą
i widzę
twarz moją wspaniałą krawat jak pętlę zacisnę kołnierzyk
znów ciasny jak umysł mój dla wątpliwości zbyt wielu
naraz
i jeszcze nie być pewnym twarzy to najstraszniejsze
jednak ale
cóż poza lustrem mamy ci oddać w darze który mnie
uśmierciłeś
jedną myślą wcześniej niż spisano biografie w których
nie mieszczę się ze względu na wątpliwości zbyt wiele
lecz schowam je sobie niech wystarczy ci twarz
niechaj postać starczy wspaniała w lustrze doskonałym
nad
wszystkie obrazy nim cios zgruchocze szkło i zadrżą znów
posady
na marginesie portretu spisano hrabiego Essexu anno
domini miłościwie nam
panującego
roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego
w styczniu
i lutym
barzo w Łodzi mieście etcetera etcetera etcetera

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Bez manifestu

Łączenie się w grupy artystyczne nie jest zjawiskiem nowym. U podłoża takiej unii kilku twórców leży przeważnie zbieżność lub tożsamość ideologii i poglądów artystycznych, podobieństwo treści lub formy w ich twórczości, jakiś cel pokoleniowy, wreszcie utylitaryzm.

Twórcy łączą się w grupy w okresach fermentów i tarć społecznych i politycznych, aby manifestować swoją aktywną postawę wobec zmian rewolucyjnych. Łączą się również w czasach stabilizacji, pragnąc wydobyć zjawiska artystyczne z pewnych zastojów, z rutyny.

Tradycyjna grupa artystyczna zaczynała zazwyczaj od ogłoszenia manifestu, programu ideowego, proklamacji, często bardziej rozdętych niż odpowiadające im efekty twórcze. Ten rozdźwięk między prowokacyjną a nawet pustosłowną deklaratywnością, a istotną wartością działalności twórczej w postaci powstawania wybitnych dzieł, wywoływał niejednokrotnie pewien sceptycyzm społeczny, wobec wszelkich efekciarskich deklaracji. Wystarczy powołać najbardziej typowe przykłady z okresu futuryzmu czy surrealizmu. A sceptycyzm pociąga za sobą obojętność — a co za tym idzie — utratę kontaktu ze społeczeństwem.

Wspólnej manifestacji artystycznej powstałej przed rokiem grupy plastyków „Konkret", nie towarzyszy żadna salwa deklaracyjno-propagandowa, żaden szokujący manifest. Pierwsza wystawa grupy w Galerii BWA nie przynosi więc rewelacji widowiskowych, efekciarskich*). Pewne spektakularne elementy, jak wejście na wystawę przez okno, czy przedmioty zwykłej codzienności wystawione jako dzieła sztuki — mają w gruncie rzeczy bardziej charakter ukłonu niż prowokacji.

Siedmioro młodych plastyków, pracowników dydaktycznych PWSSP w Łodzi, połączyło się w grupę, aby prezentować swoją dojrzałą twórczość w sposób zgrany wzajemnie i pełniejszy. Pełniejszy o wymiar wzajemnych konfrontacji twórczych w grupie.

Dla wszystkich — poza Henrykiem Strumiłło, który miał już indywidualne wystawy jest to jednocześnie debiut wystawienniczy, nie licząc, rzecz oczywista, różnych wystaw zbiorowych. Każdy debiut zawiera wystarczający ładunek niespodzianki, aby przyciągnąć opornego często widza. Debiut zbiorowy niespodziankę tę zwielokrotnia. I to jest przykład rozsądnego utylitaryzmu, który powinien przyświecać każdej manifestacji artystycznej. Jest to bowiem szansa zainteresowania, wciągnięcia widza, poszerzenia kręgu odbiorców sztuki.

Co proponuje „Konkret", co proponują na wystawie „konkretowcy"?

Grupa jako całość daje pokaz jednorodnego traktowania dzieła sztuki jako przedmiotu, jako komunikatu pojęciowego — stąd owa nazwa — klamra łącząca poszczególnych twórców.

Są młodzi, są nowocześni, widzą swoją rolę społeczną w kategorii twórcy-działacza. Jednakże nie narzucając sobie a priori sztywnych norm ideowo-formalnych, członkowie grupy prezentują odrębne kondycje twórcze, inne światy wzruszeń, przeciwstawne formy.

Zbigniew Kosiński — poeta, autor kilku tomików poetyckich — również w plastyce pokazuje poezję uprzedmiotowioną. Lapidarną — na granicy zabawy i liryki, żartu i absurdu. Negując ukształtowaną przez mieszczaństwo opinię o nadzwyczajnej roli dzieła sztuki, Kosiński wystawia przedmioty, których poza salą wystawową, nikt za dzieła sztuki nie weźmie: kompozycje z krzeseł przykrytych folią, starą szafkę. Jest to dydaktyka, której cel jest jeden, unaocznienie społeczeństwu, że „dzieło" staje się wielkie, ważne i niezwykłe, jedynie na drodze konwencji. Ukazanie mechanizmu działania tej konwencji, oswaja ze sztuką, odbiera jej nadzwyczajny, mistyczny charakter.

Aleksander Hałat nie posuwa się tak daleko, nie strąca sztuki z jej piedestału niezwykłości. Proponuje obrazy-metafory, oczyszczone ze zbędnego sztafażu, subtelne, poetyckie i — co najważniejsze — bardzo komunikatywne. Może tylko w obrazie „Nieobecny" metafora niepotrzebnie staje się epitetem, ujętym w jednoznaczną formułę pop-artowskiego cytatu. Wydaje się, iż sztuka Hałata posiada wymiar dużej osobowości.

Romana Hałat pokazuje prace efektowne. Sztuka jej znajduje się na przecięciu dwu dróg: malarstwa gestu i surrealistycznej metafory. Jest wyrazista i konsekwentna w środkach wyrazu.

Ryszard Hunger — najbardziej przekorny i błyskotliwy, rozgrywa obraz na podobnej zasadzie jak Hałatowa, z silniejszym jednak udziałem surrealizmu, podkreślonym świadomie kolorystyczną kakofonią. Uteatralnia to kontakt artysta-obraz-widz, wprowadza element złudzenia, gry, pozoru.

Andrzej Jocz — autor reliefów i rzeźb ucieka się do bezpośredniej działalności mitotwórczej. Oscylując na pograniczu współczesnego struktualizmu i filozofii natury, Jocz imituje hieroglify, wykopaliska, zastygłe w pokładach węgla formy biologiczne. Tworzy sztuczne symbole kultury („Maszyna do robienia grafik"), sztuczne archetypy (seria „Ślady"). Mimo pierwszych pozorów nie jest to sztuka żartu, dowcipu, ale jest to przedsięwzięcie intelektualne o dużym natężeniu podtekstów.

Henryk Strumiłło — znany już szerszej publiczności z wystaw indywidualnych, prezentuje sztukę bardzo dojrzałą. Abstrakcja ekspresjonistyczna Strumiłły nawiązuje do pewnych wzorców literackich w swojej romantycznej bezpośredniej narracji. Twórczość Strumiłły — to niezwykle sugestywna ilustracja psychiki człowieka współczesnego, poszerzona o indywidualną zmysłową wrażliwość artysty.

Andrzej Nawrot — wypowiadający się w grafice, a więc w technice kameralnej, ściszonej, ma do zaoferowania odbiorcy sztukę ujmującą swoim zaangażowaniem w problematykę losu człowieka, kondycji życia, wyboru. Nawrot nawiązuje dialog z widzem za pomocą szczerości w traktowaniu spraw bliskich, codziennych, banalnych, nad którymi wielu twórców przechodzi obojętnie. Sprawy proste mają dla Nawrota wartość uniwersalną, stanowią o szczęściu i rozpaczy.

Ten przegląd sylwetek twórczych jest, oczywiście, niepełny. Przy bogactwie i różnorodności osobowości twórczych — jest na to zbyt mało miejsca. Są to zaledwie sygnalizacje, niektóre punkty, od których można dopiero budować geometrię artystyczną grupy „Konkret".

Sądzę, że wstępna faza boju o pozyskanie poklasku społecznego, została rozstrzygnięta na korzyść grupy. Wystawa wywołała duże zainteresowanie. Dalsza faza tego boju nastąpi już na płaszczyźnie indywidualnych mocy twórczych członków grupy, ich propozycji artystycznych, talentu Faza ta na pierwszej wystawie dopiero się rozpoczęła. Następna wystawa zadecyduje o trwałości grupy i powodzeniu wkładu twórczego, który wnosi ona do naszej rzeczywistości.

*) Wystawa grupy „Konkret" Ośrodek Propagandy Sztuki w Łodzi, luty 1970. Wystawa zorganizowana staraniem Zarządu Okręgu ZPAP, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, BWA w Łodzi, Muzeum w Sieradzu, redakcji tygodnika „Odgłosy". Komisarz wystawy — Antoni Szram.

PÓŁKA z książkami

„LEGENDY NASZYCH DNI"

Ukazała się pośmiertnie książka Anatola Sterna — poety, powieściopisarza, dramaturga, tłumacza i scenarzysty filmowego, zawierająca opis spotkań z pisarzami, malarzami i artystami w Polsce i za granicą. „Legendy naszych dni" ukazują w krótkich, ale niekiedy bardzo charakterystycznych sytuacjach życiowych ludzi tej miary co Irzykowski, Witkacy, Bruno Jasieński czy Ossendowski. W ogóle cała część pierwsza książki poświęcona jest pisarzom i artystom polskim, druga część — ludziom radzieckim, a trzecia — z wyjątkiem Chestertona, Francuzom. Tylko na pozór jest to książka peryferyjna. W istocie autor potrafił w tych krótkich szkicach zawrzeć bardzo wiele wiedzy o ludziach, umiał przedstawić ich tak, że wdrażają się w naszą pamięć. „Legendy naszych dni" powstały w ostatnich latach życia pisarza, stąd ich mądrość, zwartość i ciepło, jakie opromienia sylwetki poszczególnych postaci. Charakter książki trafnie określił sam autor, pisząc w przedmowie: „I pełni triumfu lub melancholii przyglądamy się sobie w lustrze codzego życia, widząc, kim moglibyśmy być, gdybyśmy nie byli tym — kim jesteśmy"...

jk.

Anatol Stern: „Legendy naszych dni", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1969 r.

„RAPTULARZ ŚWIĘTOKRZYSKI"

Pierwsza książka Świętosława Krawczyńskiego składa się ze szkiców i wspomnień, poświęconych artystom teatru, pisarzom, działaczom, adwokatom i tzw. szarym ludziom z Kielc i Ziemi Kieleckiej. Napisane są te szkice przyjemnie, lekko, czyta się je bez wysiłku, z sympatią dla autora i opisywanych przez niego „bohaterów". Autor przypomina postaci zapomniane, np. poetę Józefa Stachowskiego, o którym pisze w szkicu: „Kieleckie jest piękne". Józef Stachowski, przedwcześnie zmarły poeta, zapowiadał się tak świetnie i dobrze, że Świętosław Krawczyński przypomniał go teraz w swej książce. Równie ciekawy jest rozdział poświęcony Byrskim, którzy teatr kielecki postawili na znakomitym poziomie. Po ich odejściu z Kielc teatr ten nie może dojść do dawnej świetności.

Książkę ozdabiają rysunki Czesława Waszko. Świętosław Krawczyński wskrzesza w swoich szkicach ginący rodzaj literacki, zwany gawędą. Nie jest to może gawęda tak barwna jak u Wańkowicza, ale przecież pozyskuje czytelnika skromnością, wdziękiem i prostotą.

jk.

Świętosław Krawczyński: „Raptularz świętokrzyski", Wydawnictwo Łódzkie 1970 r.

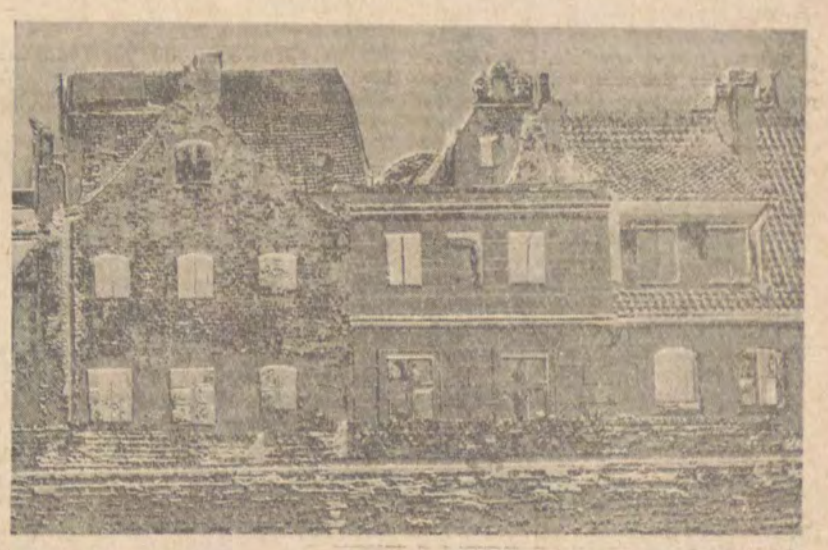

Przeszłość i teraźniejszość

Następcy Komendanta

„Kto rządził Polską i wszystkim w Polsce (...)? Czy to przemysłowcy z Łodzi, jak czasem sądzono, albo ziemianie z Nieświeża, jak tłumaczyli inni, rządzili w ostatnich latach wszystkim w Polsce? Nigdy: — rządzili wojskowi". Z tym poglądem, wypowiadanym przecież nie tylko przez Ksawerego Pruszyńskiego którego słowa przytoczyliśmy na wstępie, podejmuje polemikę Piotr Stawecki w swojej książce pt. „Następcy Komendanta. Wojsko a polityka wewnętrzna Drugiej Rzeczypospolitej w latach 1935—1939" (MON, 1969). Pragnie uzasadnić w niej tezę, iż „fakt, że wyżsi zawodowi wojskowi zdobyli w Polsce dominujące pozycje w państwie i że w ostatnich kilku latach Drugiej Rzeczypospolitej odgrywali główną rolę w politycznym życiu wewnętrznym, oznacza tylko, że byli oni wykonawcami, że rządzili w czyimś imieniu".

Nie od dziś wiadomo, że jedną z najtrudniejszych czynności w pracy historyka jest przekładanie ogólnych kategorii socjologiczno-historycznych na język historycznego konkretu. Twierdzenie wyjściowe autora jest samo przez się truizmem, przynajmniej jest nim dla każdego kto liznął marksistowskiej metody interpretacji zjawisk historycznych. Jednocześnie jednak truizmem nie jest, bowiem przed badaczem stoi zadanie dzieło trudniejsze niż konstatacja tego ogólnego faktu. Historyk winien wyjaśnić skomplikowany społeczny mechanizm związków armii z klasami posiadającymi, stanowiącymi o kształcie między wojennej Rzeczypospolitej, z poszczególnymi ich ugrupowaniami itd., co przy obecnym stanie badań wcale nie jest takie łatwe. Ogólne, nie kwestionowalne twierdzenie wyjściowe winno znaleźć swą konkretyzację w warsztacie badawczym, winno być uzasadnione w oparciu o szereg szczegółowych konstatacji wydobytych ze źródeł.

Stawecki na pewno znacznie więcej nowego wniósł do naszej wiedzy o roli armii w polityce wewnętrznej Polski przedwrześniowej niż do tego, co na ogół wiadomo o różnorodnych związkach wojska z klasami panującymi. Mimo usiłowań nie zdołał chyba przekonać czytelnika o niesłuszności ostatniego przynajmniej członu twierdzenia Pruszyńskiego. W zakończeniu swej książki autor pisał: „Odzyskanie niepodległości przez Polskę w specyficznej sytuacji stworzyło (...) warunki, w których wojsko zaczęło odgrywać poważną rolę w polityce wewnętrznej. Bo jeśli nawet tak się złożyło, że właściwi politycy cywilni podejmowali decyzje, to i tak musiały one być zatwierdzone przez najwyższe władze wojskowe. Nie bez powodu mówił dowódca Okręgu Korpusu w Toruniu do oficerów: „Całą politykę w kraju prowadzi się przez aprobatę Pana Marszałka..." A więc — „rządzili wojskowi", jak mówił Pruszyński, choć nie tylko w swym własnym imieniu i interesie.

W pięciu rozdziałach swej książki zgromadził Stawecki bogaty materiał świadczący o udziale wojska w wewnętrzno-politycznym życiu kraju w latach poprzedzających wybuch II wojny światowej. Pokazał wiele kart nowych, wiele gorzkich z perspektywy czasu, jak na przykład wykorzystywanie wojska do zwalczania strajków czy obłędnej polityki w Chełmszczyźnie w stosunku do ludności prawosławnej, polityki, która zresztą dała rezultaty akurat odwrotne od zamierzonych. Omawiając stanowisko wojska wobec mniejszości narodowych Stawecki bez osłonek pokazuje dążenia, zmierzające do zahamowania rozwoju świadomości narodowej społeczeństw ukraińskiego i białoruskiego i stwierdza, że „zainteresowanie się terytorium wschodnim odwróciło uwagę wojskowych od zachodnich ziem polskich, gdzie mogliby oni przeciwdziałać w szerszym zakresie przygotowaniom organizacji mniejszości niemieckiej. Wydaje się również, iż stosunek władz wojskowych wobec mniejszości niemieckiej był bardziej tolerancyjny, niż wobec mniejszości słowiańskich".

Na kartkach książki Staweckiego śledzimy przebieg procesu załamywania się w Polsce systemu rządów burżuazyjno-demokratycznych i odchodzenia od zasady podporządkowania armii najwyższym władzom cywilnym państwa. Proces to typowy nie tylko dla Polski, ale i innych krajów europejskich. Porównanie z nimi dałoby okazję do interesujących refleksji ogólnych. „Trudno dziś stwierdzić z całą pewnością — pisze ostrożnie Stawecki — czy działalność polityczna zawodowych wojskowych Drugiej Rzeczypospolitej miała negatywne konsekwencje dla wydarzeń w kraju i dla samej armii. Fakt jednak, że pochłonięci kwestiami politycznymi nie zawsze mogli oni znaleźć czas na sprawy ściśle fachowe, na właściwe przygotowanie sił zbrojnych do obrony, mógł być jedną z przyczyn, która zawiodła Polskę do tragicznej w skutkach katastrofy, do września 1939 roku". Autor jest chyba za ostrożny. Udowodnił w swej książce, że sanacyjna elita wojskowa ponosi odpowiedzialność za kształt wewnętrznej polityki państwa w drugiej połowie lat trzydziestych. Jeżeli rehabilitujemy dziś postawę polskiego żołnierza i obywatela w obliczu i w czasie niemieckiej agresji, jeżeli potrafimy oddać sprawiedliwość tym licznym dowódcom wojskowym, którzy wówczas nie zawiedli — poważnie zastanawiamy się nad rolą polityków w mundurach. Nie skłaniamy się ani ku teorii własnych wyłącznie win, ani nie wpadamy w bezgraniczny entuzjazm wobec własnej glorii. Zdążamy do spokojnej, rzeczowej oceny, bogatsi o doświadczenia tych ponad trzydziestu lat, które upłynęły od tamtych dni. Nie podzielam tedy ostrożności autora książki w sprawie oceny roli zjawiska, które Pruszyński nazwał trafnie dwoma słowami: „rządzili wojskowi".

JÓZEF GRZELAK

ZDAWAŁOBY SIĘ, ŻE SPRAWA NIE PIERWSZEJ ŻYCIOWEJ WAGI, A JEDNAK W MIEŚCIE PANOWAŁO PRZEZ KILKA DNI DUŻE PORUSZENIE. ODBYWAJĄCY SIĘ OD 17 LAT MIĘDZYNARODOWY KONGRES MODY KRAJÓW RWPG TYM RAZEM BAWIŁ W ŁODZI I NAM PRZYPADŁA RADOŚĆ OBEJRZENIA NA WŁASNE OCZY TEGO, CO BĘDZIEMY NOSIĆ W NAJBLIŻSZYM CZASIE. TAK SIĘ NAM PRZYNAJMNIEJ PRZEZ JAKIŚ CZAS WYDAWAŁO, ALE O TYM, POTEM.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Wielki smutek w polskiej modzie

Ten maraton mody siedmiu krajów mógł przyprawić o zawrót głowy choćby samą ilością modeli. To było prawdziwe mocne uderzenie. Na szczęście najmocniejsze przypadło na pokaz pierwszy, czyli na kolekcję polską, a kiedy się już człowiek po tym pozbierał, nic mu nie było dziwne ani straszne. Czytelniczki zechcą mi wybaczyć jeśli je rozczaruję swymi relacjami, jestem całkowitą dyletantką w dziedzinie mody, w dodatku często mam niemądre skojarzenia i w związku z tym profanuję, zamiast informować rzeczowo i fachowo.

Z mego punktu widzenia polscy gospodarze uczynili wszystko, by ich kolekcja była „naj". Najnowocześniejsza, najdziwniejsza, najbardziej ekstrawagancka, najsmutniejsza i najbardziej nie przystosowana do warunków życia w naszym kraju. Najdłuższe maxi, najdziwniejsze midi, najciemniejsze kolory. W odzieży wierzchniej i wieczorowej dominowały kolory czarny i szary. Czarne spodnie, i spodniumy, czarne płaszcze, czarne dodatki: szale, kapelusze, torby, pończochy, pantofle. Suknie balowe jak księżowskie sutanny, tylko tu i ówdzie dekolt do miejsca, w którym plecy kończą swoją nazwę. W rezultacie parada modeli, zamykająca pokaz wyglądała jak kondukt pogrzebowy. W pierwszą parę szła wdowa ze szwagrem, dalej żałobni goście i smutek ogarnął widownię, ale na szczęście nie na długo. Tylko do chwili kiedy inne kraje pokazały swoje kolekcje.

Bo na szczęście Rosjanie, Czesi, Węgrzy, Niemcy, Rumuni i Bułgarzy weselej widzą przyszłość mody. Choć dyrektor naszego zjednoczenia mówił, że na całym świecie dominuje czarny i szary, na przykład Węgrzy i z nimi parę innych krajów, unikali wyraźnie tych kolorów. Przeciwnie, to co tradycyjnie czarne, zastępowali kolorem granatowym. Na przykład wieczorowe garnitury męskie. A jeśli kolor czarny, to bogato zdobiony błyszczącą pasmanterią.

Fot. A. Wach

Niemcy zabłysnęli wielką różnorodnością nowych tkanin i dzianin z włókien łączonych: roślinnych, sztucznych i syntetycznych, także powlekanych masami plastycznymi, bardzo efektownych i praktycznych. Węgrzy pokazali piękne skóry i zamsze, bardzo interesujące zastosowanie motywów ludowych w odzieży sportowej i wieczorowej, tak samo zresztą Rosjanie zaprezentowali modele o bardzo interesujących motywach ludowych. Kolekcja węgierskich sukni balowych, która zbierała rzęsiste a zasłużone oklaski zebranych, barwna, lekka, bardzo gustowna, inspirowana była widać, przez jakiś inny świat mody, niż kolekcja polska.

Czesi, Rumuni, Niemcy pokazali znakomite dzianiny, które każda z nas chciałaby mieć natychmiast. Zresztą dzianina staje się coraz bardziej modna i coraz bardziej uniwersalna — ubrania na co dzień, odzież sportowa, wieczorowa, kostiumy, spodniumy, nawet garnitury męskie. Czasem trudno już rozpoznać co jest dzianiną a co tkaniną. W tej dziedzinie pozostajemy, niestety, daleko w tyle za naszymi sąsiadami. Czego skutkiem są u nas między innymi astronomiczne ceny zagranicznych bluzek, sweterków itd.

☆

Ale nie martwmy się, zupełnie nie ma ku temu powodów. Tak się szczęśliwie złożyło, że usiadłam przed pewną panią, która była zapewne fachowcem i głośno informowała drugą panią, która się nie znała na modzie. Kiedy ta druga zapytała z obawą w głosie, kiedy polskie modele wejdą do produkcji, specjalistka roześmiała się: co też pani mówi, przecież to pokaz, nic z tego nie wejdzie do produkcji. I miała rację, bo na spotkaniu z prasą dyrektor zjednoczenia, zapewniwszy, że to co oglądaliśmy jest reprezentatywne dla mody w świecie, poinformował jednocześnie, że nie są to projekty dla przemysłu, ale jedynie inspiracja dla projektantów przemysłowych. Można więc wnioskować, że w ciągu 17 kongresów mody takich inspiracji było siedemnaście i nic z tego dla naszego przemysłu nie wynikło.

A z większości polskich projektów nic wyniknąć nie może, bo są zaczerpnięte z mody zachodniej i to jej części, przeznaczonej dla pań, które nie chodzą, lecz jeżdżą samochodami. Można sobie wyobrazić jak nasze dziewczęta w strojach z „inspiracji" wsiadają do tramwajów i autobusów, jak brną przez zapaćkane błotem z solą ulice w maxi-płaszczach obszytych białym futerkiem. Pamiętamy lansowaną na siłę przed paroma laty modę peleryn, która zniknęła bardzo szybko, bo w naszych warunkach, gdy kobiety chodzą objuczone jak wielbłądy i przepychają się w natłoczonych tramwajach — nie mogła się przyjąć.

Kongres Mody RWPG ma na celu podnoszenie estetyki ubioru wytwarzanego metodami przemysłowymi. Jest to narada robocza, podczas której wymienia się doświadczenia i dokumentację. Niektórzy uczestnicy kongresu pokazali modele robocze, tzw. patrony, na których zaznaczone były linie cięcia i inne produkcyjne szczegóły. Znaczy to, że inne kraje traktują poważnie cel narady, a modele, które prezentują są modelami, które wejdą do produkcji. Świadczy zapewne o tym również fakt, że nasze panie — turystki, przywożą stamtąd konfekcję gotową o walorach, których u nas wciąż brak. Świadczą o tym również dane statystyczne. W Polsce z konfekcji gotowej korzysta około 50 proc. ludności, w Czechosłowacji — 65 procent, w NRD — 70 procent (w USA i NRF — 98 procent ludności).

Wśród zebranych na sali niemałą sensację robiła (prywatnie) pewna niepolska modelka, która nosiła supermodne sięgające powyżej kolan kozaczki, lśniące, idealnie przylegające do nóg. Specjalistka za moimi plecami poinformowała swoją towarzyszkę: Ona kupiła te buty w NRF. Są zrobione z dzianiny powlekanej plastykiem. To się rozciąga i potem wraca do poprzedniego kształtu. Tam robią z tego płaszcze, kurtki i buty. U nas też się robi z tym próby. Nasze już się rozciąga tylko jeszcze nie wraca. Ale za parę lat będziemy to mieli — zakończyła optymistycznie.

Zapewne. Jak my dojdziemy do tego co się rozciąga i „wraca", to oni pewno wymyślą coś, co samo chodzi. A tymczasem wymyślamy inspiracje, nierealne w naszych warunkach projekty, których jedynym efektem jest, to, że zaspokaja ją czyjeś wybujałe ambicje dogaiania w modzie awangardy zachodniej. Zapewne stać nas na to. Niemniej jednak warto, by nasi projektanci na najwyższym szczeblu przypomnieli sobie o ludziach, dla których mają projektować i co z najnowszych tendencji mody jest dla nas do przyjęcia, a co nie. I może czas już skończyć badania antropologiczne i antropometryczne nad specyfiką budowy przeciętnej Polki i przeciętnego Polaka. Ta specyfika nie musi być taka szczególna, skoro wszystkie zagraniczne ciuchy leżą na nas jak ulał.

☆

Przepraszam szanownych Czytelników, że niewiele dowiedzieli się ode mnie o modzie obowiązującej na najbliższe sezony. Tak dokładnie to jeszcze nic nie wiadomo. Więc jeszcze niczego nie należy wyrzucać. Co najwyżej poskracać nieco mini-suknie i zrobić z nich długie bluzki, które na pewno będą modne do spódnic i spodni. W zasadzie wszystko się wydłużyło i powiększyło, tylko nie wiadomo jeszcze o ile. Ma to nawet odbicie w nomenklaturze. Bluzki zostały bluzami, kamizelki — kamizelami itd. Można nosić długie szale, zawijając nimi głowę i wszystko co się da. Nawet jeśli głowa nie boli. A nie powinna boleć, modę lansują przecież i tak młode dziewczęta, które tej dolegliwości nie znają, a kobiety dorosłe i tak noszą to w czym im najlepiej do twarzy — modę traktując na pół serio.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

- **KONRAD FREJDLICH — Laurem wieńczyć skronie**
- **ZOFIA TARNOWSKA — Tania krew**
- **STANISŁAW LEWICKI — Dawne dzieje Łodzi**
- **Dyskusja o trudnej drodze do nowoczesności. Felietony, recenzje, nowela kryminalna.**

JADWIGA PYCZEWSKA-PILAREK

Wędrówki naszych filmów

Kultura polska w świecie

EKWADOR, JAPONIA, AUSTRALIA, ARGENTYNA, EGIPT, BOLIWIĄ, CHINY, PARAGWAJ, KANADA — TO KILKA ZALEDWIE SPOŚRÓD 84 KRAJÓW, W KTÓRYCH NA EKRANACH KIN CZY TELEWIZORÓW MOŻNA OGLĄDAĆ FILMY POLSKIE. W OKRESIE POWOJENNEGO DWUDZIESTOPIĘCIOLECIA DOTARŁY NA WSZYSTKIE KONTYNENTY ŚWIATA. ZWAŻYWSZY, ŻE W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM KINEMATOGRAFIA POLSKA W ŚWIADOMOŚCI ZAGRANICZNYCH ODBIORCÓW NIE ISTNIAŁA — FAKT TEN NALEŻY UZNAĆ ZA DUŻE OSIĄGNIĘCIE.

Obecnie bogatą już historię polskich filmów na ekranach rozpoczęły **„Zakazane piosenki", „Ostatni etap", „Piątka z ulicy Barskiej"**. A pierwszoplanowe miejsce w jej dziejach należy w chwili obecnej do **„Kanału"**, który oglądany był w 49 krajach, m.in. Egipcie, Wenezueli, Meksyku, Libii, Wietnamie, Australii, USA — **„Ostatniego etapu"**, który trafił na ekrany również 49 państw, m.in. Brazylii, Kanady, Kuby, Maroka i **„Popiołu i diamentu"**, który był wyświetlany m.in. w Nowej Zelandii, Belgii, Islandii, Brazylii.

Ponad 30 państw zakupiło **„Matkę Joannę od Aniołów", „Krzyżaków", „Zamach"**, ponad 25 — **„Nóż w wodzie", „Zezowate szczęście", „Pociąg", „Dziś w nocy umrze miasto", „Ewa chce spać"**.

Te najpopularniejsze za granicą filmy polskie są na pewno znakomitym świadectwem istnienia polskiej kinematografii. Jej wysokiego poziomu artystycznego, który osiągnęła w czasie swej krótkiej, bo liczącej zaledwie 25 lat historii. Ale czy to samo można powiedzieć o wszystkich filmach, które trafiają na ekrany zagraniczne?

„Film Polski" — przedsiębiorstwo zajmujące się eksportem i importem filmów ma do wykonania określone plany ekonomiczne. Z punktu widzenia planu ekonomicznego obojętne jest, czy dewizy wpłyną za „Żywot Mateusza", czy za „Przygodę z piosenką". Dla pozycji naszej kinematografii w świecie i dla polskiej kultury — obojętne to na pewno nie jest. Podczas obrad Kongresu Kultury Polskiej wiele mówiono o jej oddziaływaniu i promieniowaniu poza granicę kraju. Ale z pewnością nie chodziło o upowszechnianie treści i wartości reprezentowanych przez filmy mierne i nieudane. Dążenie do zdobywania nowych rynków i odbiorców jak również do wykonania planu jest na pewno cenne — ale rodzi się pytanie, czy należy do tego zmierzać za wszelką cenę?

Zgadzamy się chyba wszyscy, że nie każdy film może właściwie reprezentować naszą kulturę filmową. A jednak nie zawsze wyciąga się z tego wnioski. W przeciwnym bowiem razie np. „Dwa żebra Adama", „Kochajmy syrenki", „Zacne grzechy", czy „Tysiąc talarów" nie trafiłyby za granicę (m.in. do NRF) i to w roku 1969, w którym mieliśmy już za sobą 25-letni dorobek i sporą pulę filmów do dyspozycji. Nie wydaje się przekonywającym argument, iż właśnie te filmy zainteresowały zagranicznego kontrahenta, reprezentującego gusty „swojej" Polonii.

Obecnie, gdy systematycznie wzrastają wpływy za sprzedane filmy krótkometrażowe, można już chyba pozwolić sobie na staranny dobór filmów, które mają być oferowane zagranicznemu odbiorcy. Stanowisko to wydaje się o tyle słuszne, iż jak wiadomo, filmy polskie nie są „kasowe". Stąd też w krajach, gdzie w kinematografii widzi się przede wszystkim interes, do szerokiego rozpowszechniania w kinach trafiają rzadko. Wyświetlane są natomiast w klubach filmowych, kinach z ambitnym artystycznie repertuarem, na pokazach dla Polonii. Nie trzeba chyba przypominać, że niezależnie od tego, czy odbiorca zagraniczny uświadamia sobie przynależność określonego tytułu do naszej kultury narodowej, film ten pozostaje zawsze cząstką naszego życia, ambasadorem naszych artystycznych ambicji i możliwości.

Stąd też wydaje się, że szansą dla naszego eksportu filmów fabularnych i uzyskania wysokiej oceny naszej kinematografii za granicą są filmy ambitne, mówiące w sposób indywidualny i oryginalny o zainteresowaniach rodzimych twórców naszym krajem, pomijając pozycje nieudane — szansy tej na pewno nie stwarzają filmy niezręcznie naśladujące obce nam treści i gatunki — nie wytrzymują one konfrontacji z podobnymi filmami zagranicznymi, realizowanymi z o ile większą wprawą i w oparciu o własne tradycje.

Interesująco przedstawiają się dane dotyczące ekportu polskich filmów fabularnych. Rokiem największej prosperity był rok 1965. Zawarto wtedy największą ilość transakcji (281) i sprzedano najwięcej filmów (tytułów) — 139. O ile do tej pory liczba zawieranych transakcji (wprawdzie niższa) utrzymuje się na podobnym poziomie, to liczba sprzedanych filmów zmalała, a wahania są dość znaczne: rok 1966 — sprzedano 93 filmy, rok 1967 — 87, rok 1968 — 101, I półrocze roku 1969 — 44 filmy. Dane te z pewnością nie pozostają bez związku z poziomem naszej twórczości filmowej po roku 1965. Ponieważ z każdym rokiem przybywa przeciętnie 20 filmów fabularnych rocznie, jak również zdobywamy coraz to nowe rynki — więc wniosek, że zainteresowanie naszymi filmami na świecie osłabło — jest oczywisty. Aczkolwiek trzeba stwierdzić, że niektóre filmy („Żywot Mateusza", „Westerplatte", „Wszystko na sprzedaż" i in.) zaczynają dopiero swą ekranową wędrówkę.

Natomiast w filmie krótkometrażowym stanowimy dziś prawie potęgę. Największym zainteresowaniem odbiorców zagranicznych cieszą się barwne filmy animowane, dokumentalne, telewizyjne. O ile w roku 1950 zawarliśmy 37, to w roku 1961 — 151 transakcji. Rok ten był rokiem przełomowym. Od niego bowiem datują się pierwsze sprzedaże

KONRAD FREJDLICH

Debiut edytora

Wiele już ton papieru zapisano na temat tak z pozoru abstrakcyjny jak związki literatury z krytyką. A przecież, wbrew potocznej opinii, nie jest to problem obchodzący wyłącznie pisarzy. I nietrudno byłoby chyba dowieść, że bez rzetelnej krytyki są motność literatury dzieli także jej czytelnik. Bo przecież krytyka, przypomnijmy za Stanisławem Baczyńskim, *„stanowi warunek narastania przyszłości, żywej kulturalnej fermentacji, która ogarnia dalеko szerszy zakres niż sama sztuka"*. To właśnie *„z niej rodzi się ferment świadomości zbiorowej, gleba dla arcydzieł"*. A wreszcie *„dzięki niej istnieje miara społecznego wartościowania sztuki w każdej epoce, smak, styl."*

Wstęp ten wydał mi się konieczny dla omówienia dwóch książek Wydawnictwa Łódzkiego, które po czątkują nowy kierunek działania tego zasłużonego edytora.

Z rodu poetów

Tak właśnie Feliks Fornalczyk, krytyk i publicysta, zatytułował tom swoich szkiców poświęconych analizie twórczości niektórych polskich pisarzy średniej generacji, którzy przed swoim debiutem prozatorskim terminowali w poezji i jako poeci utrwalili się najwcześniej w świadomości czytelnika. „Chodzi zatem o tych prozaików średniej generacji — zacytujmy ze wstępu autora — którzy zaczynali jako poeci, a przeszedłszy na grunt prozy, zaznaczają w niej swoje inklinacje poetyckie oraz wyraźnie skrystalizowane indywidualności i postawy. Tego typu łączne widzenie różnorodnych zjawisk literackich, właściwych tej generacji, nie bywało dotąd przedmiotem zainteresowania krytyki. I to był także powód podjęcia analizy dorobku owych wywodzących się z rodu poetów prozaików."

Z pozoru założenie to wydaje się dość jednolite. Zauważmy jednak, że zakres jego jest tak jednak szeroki, że Fornalczykowi nie zawsze udaje się dotrzymać słowa. Cóż to bowiem znaczy „prozaicy średniej generacji"? I czy rzeczywiście mamy do czynienia z przykładami tak dobranymi, że reprezentują ten sam zakres doświadczeń osobistych, bez którego trudno mówić o łączności pokoleniowej? Czy, mówiąc już konkretnie, można włączyć do tego samego nurtu twórczość debiutującego przed wojną, nieżyjącego już Stanisława Czernika i twórczość Tadeusza Różewicza, która wyrosła z doświadczeń okupacji?

Wątpliwości jest zresztą więcej. Równie przecież nieprecyzyjny jest warunek „utrwalenia się w świadomości czytelniczej jako poety". Przecież Leon Gomolicki „utrwalił się" najwcześniej w świadomości czytelnika jako badacz związków kultury polskiej z rosyjską a jedyny jego, i później zresztą wydany tomik wierszy „Czas spopielały", stanowi raczej margines zainteresowań tego pisarza. Nie zawsze też równoległe uprawianie poezji i prozy prowadzić musi do uchwytnych, wyraźnych związków pomiędzy tymi gatunkami literackimi, najczęściej są to dziedziny autonomiczne nawet wówczas, gdy bazują na tym samym doświadczeniu osobistym, gdy posiłkują się tymi samymi akcentami autobiograficznymi czy kryptoautobiograficznymi.

Uczyniłem tu tyle zastrzeżeń, a przecież książka Fornalczyka, chociaż nie zostały w niej zrealizowane założenia autora, nieźle w końcu orientuje w kierunkach poszukiwań twórczych pisarzy, którzy pomimo wartościowego dorobku, nie doczekali się na ogół, z wyjątkiem Różewicza, szerszego krytycznego omówienia. A chodzi tu o powieściopisarzy bynajmniej nie marginalnych, bo posiadających już wyraźnie zaznaczone miejsce we współczesnej literaturze polskiej. Toteż pomimo dowolności kryteriów doboru, cenne i ważne wydaje mi się to, że Fornalczyk podjął pracę pionierską omawiając, obok pisarzy już tu wymienionych, twórczość Tadeusza Chróścielewskiego, Tadeusza Hołuja, Jana Huszczy, Bogusława Koguta, Jana Koprowskiego, Klemensa Oleksika i Wilhelma Szewczyka. Założenia ograniczyły nieco możliwości krytyka, jeśli jednak spojrzymy na jego rozprawki jak na szkice autonomiczne, to okaże się, że nie brak w nich wartościowych, a nawet odkrywczych ustaleń. Z tych właśnie względów książka Fornalczyka, analizująca nie tknięte do tej pory przez krytykę ogromne obszary współczesnej literatury polskiej, zasługuje na uwagę i szacunek. Może wreszcie jej częściowy sukces zachęci następnych krytyków do analizy innych nurtów współczesnej prozy, a także poezji, które dotąd leżą w naszym kraju odłogiem. Tego rodzaju próby przyczynią się niewątpliwie do skuteczniejszego oddziaływania literatury na życie społeczne i zwiększą terytoria jej ideowej oraz estetycznej ekspansji. Warto to sobie uświadomić, aby w pełni zrozumieć intencje wydawcy, który wziął na siebie ciężar inspiracji w tych istotnych, dla rozwoju naszej kultury, poszukiwaniach krytyki.

Wilcze ślady

Szkice literackie Wilhelma Szewczyka, zatytułowane nieco szokująco „Okulary z firmy Brauxel ex Co", są pozycją wyjątkowo ważką. Mamy w nich bowiem nową próbę spojrzenia na Niemcy zarówno te po wschodniej, jak też po zachodniej stronie Łaby. Temat wojenny, który odcisnął wyraźny ślad we współczesnej literaturze polskiej, znalazł, co jest przecież zrozumiałe, swoje odbicie także w literaturze niemieckiej I jeśli zgodzimy się, że w prozie artystycznej mogą znajdować ujście aspiracje nie tylko estetyczne, stanie się zrozumiała doniosłość i polityczna aktualność podjętej przez Szewczyka analizy. Książka jego spełnia zresztą funkcje podwójne: jest równocześnie obiektywnym i kompetentnym przewodnikiem po współczesnej niemieckiej prozie, którą znamy dość powierzchownie z nielicznych u nas przykładów. Dotyczy to zwłaszcza literatury powstałej w NRF. Całego szeregu utworów przeanalizowanych przez Szewczyka nie znamy zresztą nawet z omówień, a jak się okazuje nawet twórczość takich pisarzy jak spopularyzowany u nas Gunter Grass obfituje w ambiwalentne, ale niebezpieczne w swojej wymowie, akcenty. Co nie przeszkadza, że właśnie Grass najrzetelniej ze wszystkich pisarzy w NRF obnażył istotne korzenie wojny i jej konsekwencje. Choć robi to żywiołowo i trochę na oślep, przypomina pod tym względem świadome już ambicje literatury w NRD, która głównie piórami Fuehmanna, Mundstocka i Nolla stara się od początku ukazać mechanizm drugiej wojny światowej i skojarzyć go z konkretną sytuacją polityczną Niemiec.

Rozrachunek z przeszłością dokonywany przez literaturę niemiecką stanowi główny kierunek analizy Wilhelma Szewczyka. Omawia on więc zarówno rozterki intelektualistów niemieckich jak też tendencje odwetowe, jakie często przenikają na karty powieści wydawanych w NRF. Literatury tej nie można lekceważyć, ponieważ wywiera ona znaczny wpływ na część przynajmniej zachodnioniemieckiego społeczeństwa, zaś jej jady są tym groźniejsze, że nierzadko neohitlerowską propagandę ubiera się w atrakcyjną artystycznie formę. Słusznie też nazywa Szewczyk ten odłam prozy „kiczami ideowymi".

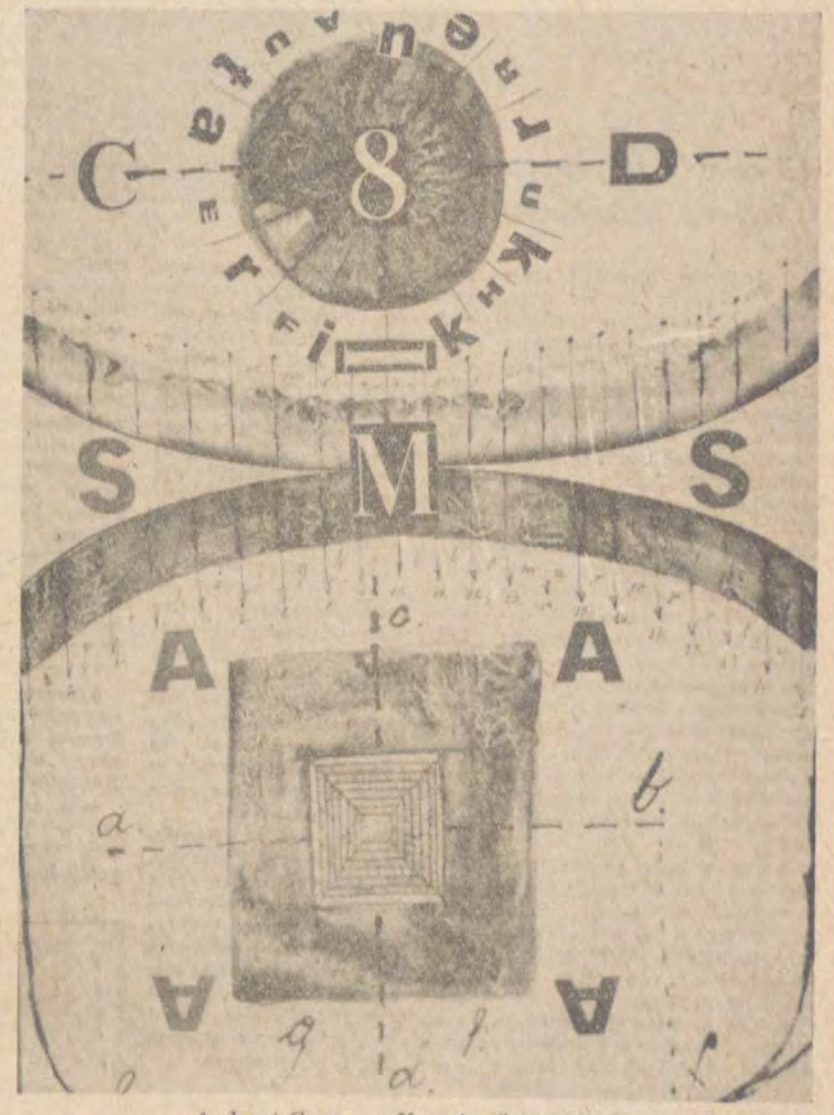

Andrzej Grun — „Horoskop" (grafika)
Fot. E. Kudzj

Jak już wspomniałem przedmiotem jego analizy są także próby rozrachunku z historią, podejmowane w NRD. Nic więc dziwnego, że odrębny szkic poświęcił autor omówieniu twórczości dobrze w Polsce znanego Johannesa Bobrowskiego, który należy do najciekawszych w książce. Osobny wreszcie rozdział i chyba niezbędny, stanowi omówienie tematu Niemiec i hitleryzmu we współczesnej literaturze polskiej.

Wieloaspektowość książki Szewczyka przy jednoczesnym ukierunkowaniu analizy sprawia, że jest ona jedną z najwartościowszych pozycji niemcoznawczych jakie ukazały się w naszym kraju. Żałuję więc, że ograniczony szczupłością miejsca na łamach mogę tylko zasygnalizować poruszone przez nią problemy.

Mimo odrębności tematycznej obie omówione tu książki łączy przecież ta sama tendencja: starają się one doprowadzić do szerokich rzesz czytelniczych treści wyselekcjonowanych lektur, wskazując jednocześnie na ich związki z rzeczywistością, wykazując jak się w nich załamuje określona świadomość społeczna. Na takim negliżowaniu polega działalność krytyczna, której ważności nie trzeba chyba uzasadniać. Trzeba tylko życzyć Wydawnictwu Łódzkiemu, aby jego ambicje krytyczne nie wyczerpały się na dwóch, omówionych tu pozycjach, którymi zadebiutowało jako edytor w tej dziedzinie twórczości.

Feliks Fornalczyk: „Z rodu poetów", Łódź 1969, str. 404;

Wilhelm Szewczyk: „Okulary z firmy Brauxel ex Co", Łódź, 1969, str. 190.

---

dla telewizji. W roku 1962 zawarliśmy już 446 transakcji. Rok 1968 przyniósł ich podwojenie. Największą popularność za granicą zyskały serie „Bolek i Lolek", „Bolek i Lolek na wakacjach" oraz m.in. filmy „Dwaj ludzie z szafą", „Mały western", „Płyną tratwy", „Araby", „Zanim opadną liście", „Rodzina człowiecza", jak również filmy z barwnej serii telewizyjnej „Klasycy literatury światowej". Krótki metraż kupują od nas najchętniej: Kanada, Portugalia, Brazylia, Hiszpania, Szwecja, Bułgaria, NRD, Węgry, ZSRR. Wzrost zainteresowania naszymi filmami krótkometrażowymi determinowany jest nie tylko potężnym rozwojem telewizji na całym świecie ale i wysokim poziomem artystycznym polskiej twórczości w tym zakresie, czego wymownym dowodem jest szereg nagród festiwalowych.

Istnienie i pozycję naszej kinematografii w świecie określają nie tylko liczby zawartych transakcji i tytuły sprzedanych filmów, ale i kilkadziesiąt imprez organizowanych rocznie za granicą, udział w ponad 50 festiwalach międzynarodowych każdego roku. To bardzo wiele. Zważywszy, że nie należymy do wielkich potęg kinematograficznych, ilość imprez popularyzujących film polski może zaimponować. Cóż to za imprezy? A więc uroczyste premiery filmów polskich za granicą, cykliczne przeglądy, dekady filmów polskich, dni, retrospektywy. Niektóre z imprez mają już tradycje. Do przeglądów organizowanych systematycznie przyzwyczajeni są miłośnicy filmu polskiego w ZSRR, NRD, Francji, Finlandii, Teheranie, Włoszech. Podobne imprezy (przeglądy) organizowane były też m.in. w Santiago de Chile, Ottawie, Gwinei, Mongolii, Meksyku.

Na pewno cenną formą popularyzacji naszej kinematografii jest udział w festiwalach międzynarodowych, różnorodnych w swym charakterze. A więc obok znanych festiwali filmów fabularnych prezentujemy naszą twórczość filmową na festiwalach filmów o sztuce, na ukowych, animowanych, sportowych, góralskich, fantastycznych, eksperymentalnych i wielu innych. Kilkadziesiąt nagród — to przeciętny roczny plon festiwalowy.

W całym tym kontekście skromnie aczkolwiek coraz ciekawiej prezentuje się reklama naszych filmów za granicą. „Polish Film" — dwumiesięcznik redagowany w języku angielskim i francuskim, poświęcony bieżącej twórczości filmowej, systematycznie wysyłany do 4 tysięcy odbiorców zagranicznych oraz ukazujące się co roku trzyjęzyczne katalogi filmów: fabularnych, dokumentalno-oświatowych, animowanych, a ostatnio i telewizyjnych — na pewno orientują zagranicznego odbiorcę w naszej twórczości filmowej, ale dodajmy, orientują i to raczej powierzchownie, a nie reklamują. Tylko niektóre filmy otrzymują reklamę indywidalną, bardzo efektownie i starannie opracowaną przez wybitnych grafików. Na pewno słuszne jest atrakcyjniejsze reklamowanie filmów na rozpowszechnianiu których zagranicą zależy nam najbardziej, ale wydaje się, że odpowiednia reklama winna być przywilejem każdego filmu, skoro oferuje się go zagranicznym odbiorcom.

Cenną formą popularyzacji naszej kinematografii jest bezpośrednia współpraca polskich aktorów, reżyserów, operatorów przy realizacji filmów zagranicznych. Do tych bezpośrednich kontaktów „Film Polski" przywiązuje coraz większą wagę. Przypomnijmy, że ostatnio we Włoszech realizował film Jerzy Skolimowski, grali w Czechosłowacji Tadeusz Fijewski, Bożena Kurowska, Wajda i Żuławski realizowali w Lichtensteinie, Leszczyński w Danii, Wójcik i Giersz w Jugosławii, Niemczyk, Prucnal, Mikołajewska, Holoubek, Szalawski, Voit, Karewicz grali w NRD. Beata Tyszkiewicz na Węgrzech i w ZSRR. Przypomnijmy też, że owocem pracy Leona Niemczyka w NRD jest nagroda państwowa NRD, którą otrzymał za rolę w filmie „Czas życia".

Gorzej przedstawia się sprawa współprodukcji. Ta ważna forma zdobywania odbiorców zagranicznych i propagowania naszej kinematografii, jej twórców, jest do tej pory nie wykorzystana. Współprodukcja z partnerami, od których można się czegoś nauczyć, wydaje się nie do pogardzenia. Korzyści płynące z tej formy realizacji filmów potrafili już właściwie ocenić Rosjanie, Jugosłowianie, Niemcy, Rumuni, Bułgarzy. My natomiast osiągnięciami w tej dziedzinie nie możemy się jeszcze poszczycić.

Godny wszakże podkreślenia jest fakt poważnego udziału Polaków w różnych międzynarodowych organizacjach i stowarzyszeniach filmowych. Między innymi prof. Jan Jacoby jest wiceprzewodniczącym Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, prof. Jerzy Toeplitz od 1948 roku jest przewodniczącym Międzynarodowej Federacji Archiwów Filmowych oraz wiceprzewodniczącym Międzynarodowej Rady Filmu i TV. Reżyser Antoni Bohdziewicz pełni funkcję przewodniczącego w Międzynarodowej Federacji Klubów Filmowych, redaktor Bolesław Michałek jest przewodniczącym Międzynarodowej Federacji Prasy Filmowej (FIPRESCI).

25 lat w historii sztuki filmowej to niezbyt dużo — dla budowania, organizacji i popularyzacji nowej kinematografii, rodzącej się w nowym państwie, a jednak polska kinematografia nie musi się wstydzić pozycji w świecie, którą osiągnęła w ciągu tych 25 lat.

Witraż sztuka ginąca?

(Z wizytą w pracowni Heleny Bożykowej)

Otwieram drzwi i staję zdumiony. Nic nie wskazuje na to, że znajduję się w miejscu powstawania szklanych dzieł sztuki. W odpowiedzi na moje pytające spojrzenie arystka uśmiecha się i mówi:

— Oczekiwał pan czegoś pośredniego między pracownią malarza, a warsztatem szklarskim? Tu jednak koncepcja twórcza materializuje się tylko w postaci szkiców i projektów. Praca z podstawowym materiałem, ze szkłem — dokonuje się w pracowni witrażniczej, gdzie technicy przy użyciu szklanego tworzywa i odpowiednich zabiegów zapewniających uzyskiwanie pożądanych efektów układają szklaną mozaikę. Potem czekamy na ostatni element konieczny do ożywienia witrażu — światło.

— Czy witraże można uważać dziś za żywą dziedzinę twórczości artystycznej? Przecież jest ona tak ściśle zespolona ze sztuką sakralną, że w budownictwie świeckim nie znajduje miejsca.

— Nie ulega wątpliwości, że witraż jako element architektoniczny jest związany przede wszystkim z budownictwem monumentalnym, a więc tradycyjnie kościelnym. Zwłaszcza gotyk jest stylem, który pozbawił twórców dużych powierzchni ścian. Na tę epokę przypada też świetny okres witrażu, kończący się z początkiem XVI wieku, skutkiem zastosowania farb, umożliwiających malowanie bezpośrednio na szkle. Od tej pory zaczęło się przenoszenie wzorów i metod malarstwa stalugowego do tego pseudowitrażownictwa, przez co stracono kontakt z właściwym materiałem, ze szkłem. Obok witraży kościelnych spotyka się również świeckie. Nie widuje się ich często z dwóch powodów. Po pierwsze użytkownicy tych budowli dążyli do zapewnienia zwiększonej ilości światła w pomieszczeniach, skąd eliminowano szkło barwione, zwłaszcza patynowane na rzecz przeźroczystych szyb. Po drugie moda świecka jako częściej ulegająca zmianom, usuwała witraże nie harmonizujące z przebudowywanymi wnętrzami. Liczniejsze pozasakralne witraże spotykamy z okresu późniejszego. XVI i XVII wiek pozostawiły znacznie więcej zabytków zarówno w budynkach użyteczności publicznej (ratusze, zajazdy), jak i mieszkaniach patrycjatu miejskiego. Wiek XIX stanowi okres bujnego rozkwitu świeckiego witrażu. Domy nowobogackiej burżuazji ozdabiają quasi-witraże (w istocie najczęściej obrazy na szkle), które chętnie stosowano do dekoracji okien w holach i na klatkach schodowych. Świetnym przykładem są secesyjne pałace łódzkiej plutokracji.

Wydaje mi się, że obecnie, kiedy poszukujemy nowych, oryginalnych rozwiązań architektonicznych dla budownictwa monumentalnego i gmachów publicznych — artystyczny witraż może stać się źródłem nowych, niecodziennych i szczęśliwych efektów, zarówno z punktu widzenia estetycznego, jak i utylitarnego.

— Gdzie widzi Pani możliwość zastosowania witrażu świeckiego?

— Na pierwszym miejscu postawiłabym hale sportowe, jako posiadające ogromne powierzchnie szklane. Przez wprowadzenie elementu barwy do oświetlenia można by osiągnąć niezwykle atrakcyjne wyniki artystyczne. Oczywiście wskazana byłaby konsultacja psychologa, dzięki któremu można by bezbłędnie oddziaływać na widza przy pomocy kolorów. Ponadto uważam tematykę sportową za wyjątkowo ciekawą dla twórcy i niemal zupełnie w technice witrażowej nie wykorzystaną. Dalej — domy kultury, jakież tu wspaniałe możliwości wykorzystania regionalnych wzorów sztuki ludowej. Przed szkoła, zwłaszcza duże placówki istniejące np. przy kombinatach przemysłowych, hole większych bibliotek, sale gimnastyczne dużych szkół, teatralne foyer, poczekalnie reprezentacyjnych kin, siedziby znaczniejszych urzędów — z wyłączeniem pomieszczeń potrzebujących większego dopływu światła, choć i tu mogą być wyjątki. Przykładem trafnego wprowadzenia witrażu jest Dworzec Główny w Toruniu. W nowej szacie tego budynku poczesne miejsce przypadło dziełom, których projekty opracowali artyści: Zdzisław Kulikowski i Romuald Drzewiecki. Wykonawcami byli: Edward Kwiatkowski i Leonard Brzeziński przy współudziale Krystyny Kokocińskiej.

— A czy w wypadku istnienia w Polsce zapotrzebowań tego typu, znalazłby się odpowiednio liczny zastęp plastyków wprowadzonych w tajniki kunsztu?

— Oczywiście! Jest to zresztą kontynuacja świetnej tradycji. Kraj nasz w ciągu swego tysiącletniego bytu wydał plejadę wybitnych witrażystów od Mikołaja, noszącego w źródłach określenie „vitreator de Cracovia" (XIV w), poprzez Józefa Mehoffera i Stanisława Wyspiańskiego, a kończąc na współczesnych artystach takich, jak: Jerzy Bandura, Adam Bunsch, Władysław Taranczewski, Edward Kwiatkowski, czy prof. Adam Stalony-Dobrzański. Obok krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych mamy również poważny ośrodek przy toruńskim Uniwersytecie, gdzie działa pracownia witrażownicza.

Rozmawiał:
BOHDAN PIĄTKOWSKI

Spektakle tygodnia

	Spektakli	Ilość widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
„Jezioro łabędzie"	1	1260	100
POWSZECHNY			
„Boso, ale w ostrogach"	2	1320	100
„Ojcowie rodzą się w szafach"	2	1320	100
NOWY			
„Życie jest snem"	2	1400	100
„Kordian"	3	1800	90
JARACZA			
„Irydion"	2		90
ROZMAITOŚCI			
„Pan Jowialski"	3	1488	80
7,35			
„Jadzia wdowa"	5	2110	100
OPERETKA			
„Pierwiosnki"	6	5338	80
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	1018	80

TV OBIEKTYW

Collage Tadeusza Malaka

Znowu mam do zasygnalizowania rzecz bardzo interesującą. Jeżeli istnieją stali czytelnicy tej rubryki, to wiedzą oni z pewnością, że zawsze cenię sobie najwyżej te pozycje programowe, które znamionują postawę poszukiwania. Nie przyprawia mnie o drżenie emocji klasyczna doskonałość, jak nagrodzony „Złotym Ekranem" spektakl „Mazepy".

Bo cóż nam przyniósł ów telewizyjny „Mazepa" w reżyserii Gustawa Holoubka i w wykonaniu całej plejady gwiazd (Śląska, Świderski, Gogolewski, Kamas)? Piękne podanie wiersza Słowackiego? Z pewnością. Znakomite aktorstwo? Tak. To mało? To bardzo dużo. Ale jednocześnie czuję — i myślę, że nie jestem w tym odosobniony — iż jest to tylko jeszcze jeden świetny spektakl teatralny. Powtarzam: teatralny, nie telewizyjny.

Telewizja spełnia tu tylko rolę przekaźnika. Nie uruchamia własnych, typowych dla siebie środków wyrazu. Innymi słowy nie posuwamy się naprzód, nie sprawdzamy możliwości tkwiących w aparaturze technicznej, nie wykrywamy nowych ścieżek. Posuwamy się po wygodnym, z dawna wypróbowanym gościńcu. To wszystko.

Dlatego z wielką uwagą śledzę z reguły widowiska w ramach Studia Współczesnego, gdzie wykonywane są na ogół teksty pisane specjalnie dla telewizji. Często jeszcze niedoskonałe, ale właśnie poszukujące, programowo chodzące drogami nie utartymi, a nawet bezdrożami. Na tych bezdrożach zrodzić się mogą nowe doświadczenia telewizyjne, które sumowane składają się na odrębność telewizji, na jej stopniowe oswobadzanie się z naśladownictwa teatru.

Nie znaczy to, oczywiście, że Studio Współczesne nie przynosi nam wielokrotnie rozczarowania. Ale tym razem (4 bm.) Kraków dostarczył nam widowiska niecodziennego, będącego niewątpliwie ładnym przykładem poszukiwania nowego kształtu wypowiedzi telewizyjnej. Programem tym Tadeusz Malak zapisał się w swoim rejestrze do grupy telewizyjnych eksperymentatorów, gdzie widnieją nazwiska Hanuszkiewicza, Antczaka i paru jeszcze realizatorów.

Trudno zaszufladkować widowisko „Remont — filozofom wstęp wzbroniony". Do teatru zbliża je forma dialogowa do estrady — włączanie piosenek i recytacji, do publicystyki — fragmenty artykułów i felietonów, z których zostało przez Malaka zmontowane. A wszystko uległo zintegrowaniu w nową jakość, która nie jest ani teatrem, ani estradą, ani publicystyką. Czym jest w takim razie? Nie wiem. W każdym bądź razie jest t e l e w i z j ą.

Para aktorów (Mirosława Dubrawska i sam autor widowiska) bierze na siebie cały ciężar swobodnego poruszania się między teatrem i rzeczywistością. Gdy trzeba aktorzy bez żadnego przejścia przejmują role osób autentycznych, jak profesora Christiana Barnard, czy jego oponentów, by po chwili wrócić we własną skórę. Od zwykłej rozmowy przechodzą do fragmentu inscenizacji, od inscenizacji — do rozmowy.

Za temat wziął Malak jedno z dramatycznych pytań współczesności: czy przeszczepianie serca jest czynnością do zaakceptowania z punktu widzenia etyki, moralności, prawa, medycyny? Na pytanie to odpowiedzi jeszcze nie ma. Przedłużające się życie dr Blaiberga nastrajało niektórych optymistycznie. Ale jego śmierć osaczyła nas znowu gąszczem wątpliwości.

Malak i Dubrawska z powagą i przejęciem rekapitulują te wszystkie wątpliwości, nawarstwiają je i zderzają z argumentami zwolenników transplantacji (prof. Barnard, prof. Moll). Niczego nie chcą uprościć, niczego przeoczyć. I oto bez atrakcyjnie pojętej fabuły udaje im się stworzyć spektakl emocjonujący, pełen dramatycznego napięcia.

Konwencja przyjęta w tym widowisku pozwala w pewnym momencie na włączenie apelu do telewidzów o nadsyłanie listów do Telewizji Kraków. Mógł to powiedzieć po widowisku spiker. Ale nie! Ten apel stał się integralną częścią spektaklu. Nie raził swą dosłownością w różnorodnym telewizyjnym collage'u, który przysposobił Tadeusz Malak.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„SÓL ZIEMI CZARNEJ" Kazimierza Kutza to film, który już w dniu premiery można zaliczyć do największych osiągnięć polskiego kina. Jest to film niezwykły, prowokujący do wzruszeń, które tak rzadko bywają nam dane, film urzekający mądrością, powagą atmosferą moralną i swym niekłamanym pięknem.

„Sól ziemi czarnej" jest opowieścią o patriotycznym zrywie ludu śląskiego, przejmującym obrazem wielkiej miłości i tęsknoty tego ludu do wymarzonej przez wiele jego pokoleń Ojczyzny. Z dziejów trzech śląskich powstań Kazimierz Kutz wybrał jako temat swego filmu II powstanie, które nie będąc jeszcze w pełni zorganizowanym militarnie przedsięwzięciem, miało przede wszystkim charakter spontanicznego ruchu ludowego.

Jak sam twórca filmu przyznaje źródeł tego tematu szukać należy w legendzie rodzinnej, która towarzyszyła mu od dzieciństwa, ona przekazała mu ten obraz powstania nasycony wszystkimi elementami jego plebejskiego charakteru, ona wreszcie określiła temperaturę emocjonalnego zaangażowania. Kutz — artysta zdołał w sposób niemal doskonały osiągnąć jedność między politycznym tematem, ludowym bohaterem i niezwykle nowoczesną formą artystyczną.

Bohaterowie jego filmu to ludzie kopalń i hut, ludzie zrośnięci z „ziemią czarną, której są solą". Dzieje siedmiu braci Basistów i ich ojca, historia ich pracy i powstańczej walki, prezentacja ich charakterów, postaw patriotycznych i moralnych, rysunek towarzyszący ich życiu, obyczajowości jest syntetycznym obrazem ludu śląskiego w ogóle. W obrazie tym musiał się znaleźć wizerunek śląskiej ziemi ojczystej, jej niezwykłego krajobrazu. Wraz z ludowym bohaterem weszła do filmu bogata, specyficzna obyczajowość życia rodzinnego i zbiorowego, cała jej niepowtarzalna atmosfera.

W rysunkach swych bohaterów zawarł Kutz złożoną prawdę o ludziach, którzy umieli łączyć patriotyczny patos, heroiczny gest i nieustępliwość z wrodzoną sobie trzeźwością, rozsądkiem i instynktem samozachowawczym. Opowieść o braciach Basistach to legenda ludowa z wszystkimi jej elementami. Jest więc w niej miejsce na wielkie czyny i słowa, na głęboki tragizm, ale jest w niej również miejsce na komizm, a nawet groteskę.

Kutz opowieść tę ujął w formułę ballady, jej wyznaczniki odnajdujemy nie tylko w postaciach bohaterów, ich języku i w dramaturgicznych konwencjach, lecz przede wszystkim w głębokim liryźmie, przenikającym nawet sceny o bardzo rodzajowym charakterze, liryźmie nadającym większości tych scen różnorodne funkcje symboliczne i prowadzącym często do świadomej deformacji obrazu.

Poszukiwanie inspiracji w przebogatej kulturze ludowej i plebejskiej pozwoliło na plastyczną śmiałość rozwiązań kompozycyjnych i stosowania barwy, zadecydowało ono również o bardzo funkcjonalnym zastosowaniu w filmie pieśni ludowych.

Przedstawiony w „Soli ziemi czarnej" obraz świata jest, poza wszystkim, wyrazem najbardziej osobistych odczuć i emocji twórcy tego filmu. Szczerość i autentyzm tych odczuć i nastrojów, przy tak pełnej znajomości tematu, decyduje o niepowtarzalnym klimacie i pięknie tego filmu, w którym wielka tradycja społeczna i kulturowa łączy się z pełną świadomością nowoczesności warsztatu artystycznego.

Dla realizacji swej idei dobrał Kazimierz Kutz znakomitych współpracowników. Współtwórcą plastycznego piękna „Soli ziemi czarnej" jest operator Wiesław Zdort. Dla uchwycenia pełnych rysów autentyzmu swych bohaterów Kutz powierzył ich role aktorom, którzy z pochodzenia są Ślązakami. Dzięki nim zdołał dokonać rzeczy, w dziejach filmu fabularnego niemal nie spotykanej. Bohaterowie tego filmu mówią gwarą śląską i sądzić należy, iż ona to stała się jednym z podstawowych czynników, które ułatwiły reżyserowi i aktorom, a za nimi i nam pełniejsze dotarcie do prawdy przedstawionych w filmie ludzkich charakterów i postaw. Mimo, że nie wszystko rozumiemy, język ten jest tu wartością konstytuującą z jednej strony realizm treści, z drugiej — jej estetyczny wymiar.

Spośród wszystkich znakomitych postaci tego filmu wyróżnić należy debiutującego Olgierda Łukaszewicza, który potrafił udźwignąć bardzo trudną rolę najmłodszego z braci Basistów, Gabriela, uosabiającego, chyba na zasadzie kontrastu w stosunku do nie ujawniających swych uczuć braci, to, co uznajemy za podstawowe cechy ludu śląskiego. Świetną propozycję aktorską dał również Jan Englert, odtwarzający rolę dowódcy powstańczego oddziału. Jest on podobno jedynym w zespole tego filmu aktorem, nie - Ślązakiem. Bardzo dobrym pomysłem było powierzenie epizodycznej roli porucznika artylerii Danielowi Olbrychskiemu. W epizodzie tym nastąpiło znakomite zderzenie bohaterskiej legendy szlacheckiej i legendy ludowej, ściślej mówiąc śląskiej, bo przecież „Sól ziemi czarnej" jest filmem, który wyrósł z wielkich i bogatych tradycji tej ziemi.

EWA NURCZYŃSKA

POLONICA

POEMAT ANATOLA STERNA PO FRANCUSKU

W styczniowym numerze francuskiego miesięcznika „Europe", znajduje się obszerny poemat Anatola Sterna pt. „Dom Apollinaire'a" w przekładzie Krzysztofa Jeżewskiego. Jak wiadomo w ostatnich latach swego życia Anatol Stern poświęcił się badaniu życia i twórczości Apollinaire'a, zwłaszcza wiele uczynił dla wyświetlenia genealogii francuskiego poety. Poemat „Dom Apollinaire'a", który jest wynikiem tych zainteresowań Anatola Sterna, został bardzo życzliwie przyjęty przez opinię francuską, a znany przyjaciel Polski i tłumacz Słowackiego, prof. Burilly z Sorbony, który również korygował przekład francuski Sterna, jest o nim jak najlepszego mniemania.

jk.

TRADYCJE I POSZUKIWANIA

Tak właśnie znany polski krytyk i artysta — plastyk Ignacy Witz zatytułował swój artykuł poświęcony naszym ilustracjom książkowym, który został opublikowany w pierwszym tegorocznym zeszycie miesięcznika „Inostrannaja Litieratura". Wywodząc nasze tradycje w tej dziedzinie jeszcze ze średniowiecznych miniatur, autor pośpiesznie prowadzi czytelnika przez wieki, aby zapoznać go następnie z najnowszymi tendencjami współczesnej ilustracji książkowej, przy czym co zresztą zrozumiałe, stosunkowo najwięcej uwagi poświęca książce dziecięcej.

Cennym uzupełnieniem artykułu są liczne reprodukcje ilustracji z polskich książek dla dzieci (w tym kilka barwnych). Za pośrednictwem „Inostrannoj Litieratury" prezentują swoje prace następujący graficy: Adam Kilian, Krystyna Witkowska, Józef Wilkoń, Zdzisław Witwicki, Elżbieta Murawska, Jerzy Srokowski, Zbigniew Rychlicki, Danuta Konwicka, Teresa Wilbik, Janusz Stanny, Mieczysław Piotrowski, Andrzej Strumiłło oraz Wiesław Majchrzak.

K. F.

POLONICA

Kto, co, kiedy?

relacje — niedyskrecje

KITAGAWA UTAMARO

W serii „Cienie i światła" poświęconej grafice, telewizja francuska przedstawiła ostatnio jednego z najwybitniejszych artystów japońskich, Kitagawę Utamaro.

Jak wiadomo, w zeszłym stuleciu barwna grafika japońska wywarła znaczny wpływ na twórczość wielkich malarzy europejskich takich jak Degas czy Monet. Podobnie Gauguin ocenił wysoko japońską grafikę, a jego pracownię zdobiły reprodukcje dzieł Boticelliego, Fra Angelico i ...Utamaro.

Kitagawa Utamaro (1753—1806) jest wybitnym, jeśli nie najwybitniejszym przedstawicielem kierunku artystycznego, uprawianego w Japonii na przestrzeni od XVII do końca XIX w. tak zwanego Ukiyo-e. Japońskie to słowo oznacza tyle co „malowanie świata lub czasu, który przemija". Była to twórczość realistyczna, ludowa, będąca w opozycji do skostniałej sztuki dworskiej, arystokratycznej, głęboko tkwiącej tradycjami w kraj obrazie i opowieściach rycerskich. Przedstawiciele szkoły Ukiyo-e, ze względu na swe realistyczne upodobania nie byli traktowani jako artyści lecz jako rzemieślnicy. Toteż zazwyczaj niewiele wie się o ich życiu i losach. Niewiele też wiemy o Utamarze. Wiemy tylko kiedy się urodził i kiedy umarł, że swego kunsztu nauczył się u niejakiego Sekiena, miłośnika teatru i lekkiej poezji i że niedługo przed śmiercią zakuty w kajdany, przebywał w więzieniu przez pięćdziesiąt dni. Karę tę poniósł za to, że pewnego, czczonego oficjalnie japońskiego wojownika przedstawił na swym wizerunku w otoczeniu pięciu konkubin. Uznano to najwyraźniej za obrazę czci bohatera narodowego.

Utamaro w swych wspaniałych barwnych grafikach, które cechuje delikatne i harmonijne połączenie tonów, rozwiewanie się konturów, aż niekiedy do ich zupełnego zaniku, z zamiłowaniem portretował wiejskie kobiety w życiu domowym, na spacerze, przy pracy. Malował też damy do towarzystwa, gejsze i kurtyzany. W odróżnieniu od swych poprzedników nie kładł nacisku na barwne przedstawienie bogactwa strojów, fryzur czy wspaniałego tła. Portrety Utamary, a najchętniej malował popiersia, to mistrzowskie próby oddania najbardziej przelotnego nastroju na twarzy kobiecej, uchwycenie jakiegoś gestu, postawy, słowem utrwalenie w obrazie czegoś co nie jest jedynie martwym oddaniem szczegółów. Najchętniej koncentrował się na rysach twarzy, linii szyi, ramionach. Kiedy bliżej przyjrzeć się jego pracom okazuje się, że Utamaro malował, a może nawet stworzył, pewien idealny typ Japonki — kobiety o twarzy owalnej i smukłym, bujnym ciele.

Utamaro nie tylko malował portrety choć te najbardziej lubił. Zajmował się też sztuką dekoracji teatralnych oraz ilustrował książki z dziedziny wiedzy przyrodniczej rysując i malując owady, ptaki czy morskie muszle.

Wykonując portrety wzbogacał je kolorystycznie pokrywając tło sproszkowaną, błyszczącą miką.

WIKTOR HUGO SPIRYTYSTĄ?

Jean Gaudon jest autorem grubej, liczącej aż 600 stron książki pt. „Le temps de la contemplation" (Czas zamyślenia). Praca ta ukazuje w pełnym świetle nie znane dotąd pewne strony życia Wiktora Hugo. Chodzi tu mianowicie o rozmowy jakie rzekomo prowadził wielki pisarz z duchami. Z lat 1853-1855 zachowały się protokoły z seansów spirytystycznych, w których wielki pisarz brał udział.

Dodajmy, że w owym czasie spirytyzm był modny, a wirujące stoliki robiły zawrotną karierę. „Wywoływanie duchów" przez Wiktora Hugo było dotąd starannie ukrywane przez rodzinę i przyjaciół pisarza. Toteż protokoły z seansów ukazały się w druku po raz pierwszy dopiero teraz, w dziewiątym tomie 18-tomowego wydania „Dzieł wszystkich".

Charakterystyczne, że poziom dialogów z „duchami" zależny jest ściśle od tego kto bierze udział w seansach. Jeśli uczestniczył w posiedzeniach syn pisarza Charles, wypowiedzi „duchów" były na wysokim poziomie, jeśli zabrakło Charlesa wypowiedzi gości z zaświatów stawały się albo banalne, albo wręcz chaotyczne lub niezrozumiałe. Jeśli nikt z obecnych przy wirującym stoliku nie znał angielskiego to i sam Szekspir przywołany z zaświatów też go nie znał i przemawiał najczystszą francuszczyzną. Protokoły mimo pozornej bezwartościowości, mają duże znaczenie dla badaczy literatury, pozwalają nieraz lepiej zrozumieć dzieła poety pisane wówczas, kiedy to Hugo przebywał na wygnaniu na wyspie Jersey.

Seanse z wirującym stolikiem rzucają nowe światło zwłaszcza na zbiory poezji, z których jeden miał poprzedzać utwór pt „Legenda wieków", drugi zaś go zamykać.

Historykowi literatury znającemu protokoły z seansów spirytystycznych łatwiej jest obecnie zrozumieć źródła wizjonerskiego symbolizmu, przypominającego nawet nieraz późniejsze utwory nadrealistów. Częstokroć Hugo był przekonany, że to duchy dyktują mu wiersze.

DZIEWIĘTNASTOWIECZNE AUTOMATY

W dziewiętnastym wieku ludzie lubowali się w rozmaitych, nieraz artystycznie wykonanych, dość jeszcze prymitywnych automacikach, jak grające szkatułki, śpiewające ptaszki, poruszające się laleczki przy dźwiękach muzyki tańczące walczyka itp. Ostatnio w paryskim Muzeum Sztuk Dekoracyjnych odbyła się wystawa takich właśnie automatów. Oto w malutkim pozłacanym pałacu linoskoczek pokazuje swe sztuki, Pierrot pisze list i zapala sobie lampę, gdzie indziej bajeczny Pers unosi się w powietrzu na latającym dywanie, smok siedzący na wierzchu amethystowej groty otwiera i zamyka paszczę. Wszystkie te automaty działają za pomocą sprężyny nakręcanej kluczykiem. U zwiedzających wystawę wywołują ciekawość, nieraz prawdziwy podziw dla wysokiego kunsztu ich wykonania i być może trochę sentymentu dla czasów, w których owe prymitywne automaciki stanowiły cud techniki. Dochód z wystawy przeznaczony jest na ratowanie Wenecji.

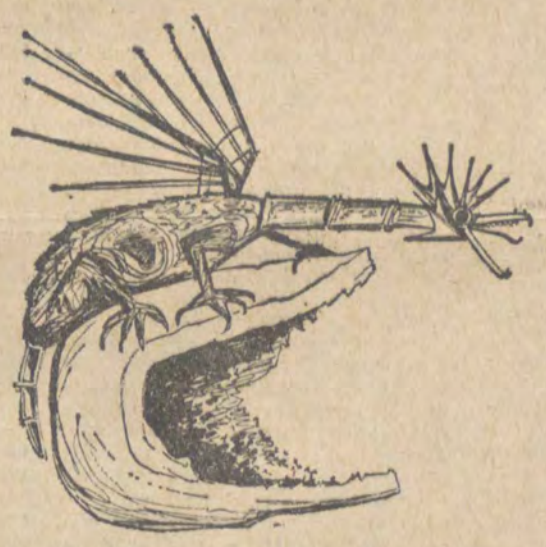

Bez strachu

Nauczyciele

Przez całe życie ktoś mnie prowadził za rękę. Kiedy byłem chłopczykiem w krótkich spodenkach, ktoś prowadził mnie do szkoły, ktoś mnie w szkole nauczał, ktoś sprawdzał, czy „odrabiam zadania domowe". Potem ktoś mną kierował w miejscu pracy, ktoś mną dowodził, chodziłem na wielce miarodajne wykłady, które ktoś wygłaszał, siedząc na katedrze. Kiedy przewlekle chorowałem, ktoś mnie badał i leczył. Kiedy pisałem, ktoś mi udzielał mądrych i życzliwych rad, płynących z życzliwości oraz z wysokiej kultury i doświadczenia ktosia. Kiedy postępowałem leniwie, niegodziwie, karygodnie, ktoś wyposażony w należyte cnoty i w precyzyjne rozeznanie dobra i zła, grzmiał czerwony z gniewu. Był ktoś, kto przystępował do mnie jak Sokrates do młodzieńca ateńskiego (ciągle bowiem byłem i jestem młody) i mówił: „Słyszałem, że piszesz powieść. Praca to wielce chwalebna, dostarczysz czytelnikom naszego miasta przeżyć artystycznych, wpłyniesz budująco na ich poczucia moralne i społeczne... Przystępując jednak do roboty tak trudnej zaopatrzyłeś się zapewne w odpowiednią wiedzę... Wiesz niewątpliwie, że powieść ma początek i koniec, a między nimi rozwiniętą część środkową, że musisz powołać do życia postacie powieści i przemyśleć fabułę i tezy estetyczno-filozoficzno psychologiczne, pamiętaj o penetracji konstrukcji ludzkiego losu, ważnej w ambitnej powieści. Wiesz także, że powieść składa się z rozdziałów, po rozdziale pierwszym następuje drugi, potem trzeci... i tak dalej w naturalnym ciągu arytmetycznym liczb całkowitych, dodatnich... ważną też rzeczą jest wiedzieć, że rozdziały składają się ze zdań, a zdania..."

Pożegnałem tego powieściloradnego ktosia. Spotkał mnie po miesiącu: „No jak tam powieść, ile słów napisałeś, ile zdań, ile stron, jakie tezy umyśliłeś, jakie postacie działają? „Napisałem trzysta osiemnaście słów powieści, działa dopiero połowa bohatera i jedna czwarta bohaterki..." „Co takiego? I to są osiągnięcia powieściopisarskie miesiąca pracy?! Leniwy smarkaczu pozbawiony właściwych tez i poważnego stosunku do dzieła. Biegiem do pisania! Jeżeli spotkam cię za cztery miesiące, to ja z ciebie porobię połówki i ćwiartki!". Ktoś krzyczał tak okropnie i zaciskał potężne pięści — uciekłem z trwogą. Pojąłem, że jeżeli nie napiszę w ciągu czterech miesięcy, ktoś mnie zabije. Tak w obronie życia napisałem pierwszą i drugą powieść i chodzę sobie luzem i cały. W każdej jednak chwili może wyskoczyć ktoś pragnący mego głęboko pojętego dobra i złapać mnie za kołnierz, radząc to i owo... Lubię Was, ktosiowie, Nauczyciele moi, odpłacam się Wam drwiną za Waszą troskę, za Wasz czysty, dobry gniew. Proszę Was, przystępujcie do mnie, gońcie mnie, jeżeli będę uciekał, dawajcie mi bezustannie rady, wyżsi nad obrazę. Nie opuszczajcie mnie, Nauczyciele moi...

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Każdy chce jechać...

DZIECKO POD BUTAMI — PRZERWANA PODRÓŻ — „CZY KTOŚ O CZYJEŚ ŻYCIE DBA?" — OBRONA AUTORA — KUPĄ PANOWIE! — HOMO HOMINI LUPUS.

W swoim czasie miał miejsce tragiczny wypadek. Na przystanku PKS w Skierniewicach o czekający na spóźniony autobus rzucili się do wozu takim hurmem, że w tłoku stratowali paroletnie dziecko. Stratowali na śmierć.

Ustalić winnych było niezwykle trudno — na autobus czekało kilkadziesiąt osób — nikt jakoś nie widział jak to się stało, że pod nogami ludzi znalazło śmierć dziecko. W czasie rozprawy sądowej jedna z kobiet — zeznająca w charakterze świadka — powiedziała z okrutną prostotą: No cóż, Wysoki Sądzie, — k a ż d y c h c e j e c h a ć..."

Te trzy słowa wypowiedziane jako usprawiedliwienie sytuacji, w której każdy myśli o sobie, sytuacji, w której każdy w takim zapamiętaniu walczy o swoje miejsce, że nie czuje pod butami żywego człowieka — te trzy słowa wstrząsnęły mną.

Była w tych słowach jakaś synteza innych, ogólniejszych sytuacji życiowych, w których depczemy butami i s ł o w a m i takich samych jak my ludzi. W opisanym wyżej wypadku rzecz jest o tyle straszniejsza, że dziecko zostało zabite przez zwykłych, n o r m a l n y c h ludzi, którzy tylko po prostu chcieli się dostać do autobusu... W pewnym momencie zapomnieli oni o tym, że stanowią społeczność — pamiętali tylko o swojej sprawie, swoim interesie, swoim pośpiechu.

Chcieli jechać te parę kilometrów i przerwali Podróż innemu Człowiekowi, Podróż, która powinna trwać jeszcze całe lata... Na moment przestali być ludźmi. Myślę, że wielu z nich do końca życia sobie tego nie wybaczy.

Jarosław Marek Rymkiewicz — jeden z wybitniejszych poetów mojego pokolenia — umieścił to tragiczne zdarzenie na przystanku PKS w Skierniewicach — w przypisie do swego poematu: „Wiersze z wygnania".

„Każdy chce jechać,
każdy się pcha.
Czy ktoś o czyjeś życie dba?"

— pyta gorzko poeta w trzeciej części utworu. Każdy chce jechać, nie bacząc, że obok stoi człowiek, że obok leży człowiek.

Niedawno dwa poważne centralne czasopisma społeczno-kulturalne podeptały w podobny sposób pewnego łódzkiego autora, który to „flekowanie" słowami przypłacił ciężką chorobą. Autor ten — wcale nie gorszy od całej plejady stołecznych „podskakiewiczów" literackich — wyszedł z łódzkiej, proletariackiej rodziny i swoją literacką biografię budował z mozołem i uporem. I wydał książkę — może błahą i nie najwyższego lotu, ale książkę nie zasługującą na pewno na kopniaki.

Chcę być dobrze zrozumiany. Nie jestem przeciwko ostrej krytyce, bo to przecież byłby nonsens. Jestem przeciwko deptaniu w tłumie, przeciwko hasłu „kupą panowie", przeciwko sytuacjom takim, jak na przystanku PKS w Skierniewicach.

O owym łódzkim autorze napisał krytyczną, ostrą recenzję jeden z wybitnych krytyków. I tu się ujawnia instynkt stadny. W ślad za wybitnym krytykiem ruszyli młodzi, jurni adepci. O pierwszej, debiutanckiej książce łódzkiego autora piszą oni per „nieszczęsny utwór", ironizują „lepiej być dobrym inżynierem niż złym pisarzem", orzekają „ubogość językowa, odstraszająca każdego ambitniejszego czytelnika"...

I w tym tonie, w tej atmosferze przebiega ocena pierwszej debiutanckiej książki, która na pewno nie zasługuje na aplauz, ale z pewnością zasługuje na to, aby ją ocenić po prostu s p o k o j n i e. I na pewno nie w rubryce typu „camera obscura". I na pewno nie w kontekście rozważań o braku papieru i w atmosferze wymówek pod adresem wydawnictwa.

Śledzę dość uważnie bieżącą produkcję wydawniczą w dziedzinie współczesnej prozy i z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że zdyskredytowane „Tam to dziwne lato" nie jest ani lepsze ani gorsze od p r z e c i ę t n e j współczesnej powieści. Skąd więc ta sytuacja rodem ze skierniewickiego przystanku PKS? Bo poszedł hyr, że książka jest zła, bo skrytykował ją ktoś z n a c z ą c y. Tak jak często idzie w Polskę hyr, że książka jest dobra — i wówczas niezależnie od istotnych wartości — wszyscy się zachłystują z zachwytu. Przerażający instynkt stadny, który każe się rzucać bez opamiętania w otwarte drzwi autobusu. Nie bacząc, że pod nogami znajduje się dziecko, czy debiutancka książka. A przecież zarówno dziecko, jak i pierwsza książka debiutującego pisarza, wymagają tej odrobiny czułości, zrozumienia, pomocy i opieki.

Być może żądam zbyt wiele w surowych czasach, gdzie homo homini lupus? W czasach, w których panuje dewiza: „K a ż d y c h c e j e c h a ć..." Okrutna dewiza — usprawiedliwienie na które nie potrafię się zgodzić.

JERZY WIDOK

HELLEN McCLOY

CZARNY KRĄŻEK

— Chcecie, żebym spał w pokoju, w którym popełniono morderstwo? — zapytał Alec Norton.

— Chyba nie boisz się upiorów? — zażartował Tunner, naczelny dyrektor Zjednoczonej Prasy.

Jestem przecież kronikarzem a nie policjantem.

— Słuchaj Norton, to jest poważna historia i powierzam tobie jej zbadanie. Zbyt wielu już przestępstw dokonano bezkarnie w Pearson City.

Dyrektor zajrzał do kartoteki. — Fakty są następujące: Malarka Diana Clark została zamordowana w hotelu Westmore. Stwierdzono, że w pokoju toczyła się walka, lecz morderca nie zostawił żadnych śladów. Diana przybyła do Pearson City dwa tygodnie temu. Mieszka tam jej mąż Daniel Forbes, z którym się rozwiodła. Zaraz po przyjeździe zatelefonowała do biura adwokackiego Kimball i Stacy i umówiła się z Martinem Stacy w hotelu Westmore. Adwokat ten miał porozumieć się z Forbesem w sprawie wypłaty odszkodowania dla Diany, która chciała powtórnie wyjść za mąż. Stacy twierdzi, że Forbes nie miał pieniędzy, gdyż stracił je na nieudanej spekulacji nieruchomościami.

— Kiedy Stacy przyszedł do hotelu?

— O godzinie 21. Wyszedł o 22. Zostawił Dianę w dobrym nastroju, zdecydowaną na wyegzekwowanie pieniędzy od Forbesa. Następnego dnia rano znaleziono jej zwłoki z kulą pistoletu kaliber 22 w sercu. Według opinii lekarza dokonano zabójstwa między 23 a 1 w nocy. Drzwi były zamknięte, klucza ani pistoletu nie znaleziono.

— Co mówi policja?

— Sprawę zamknięto z braku dowodów. Polecisz tym samym samolotem, co Diana Clark i zajmiesz ten sam pokój numer 1105.

— Co ja tam mogę jeszcze znaleźć? Policja wszystko przetrząsnęła, służba uprzątnęła pokój.

— Szukaj tego, czego nie zauważyła policja. Miej oczy i uszy otwarte!

Hotel przedstawiał się dość obskurnie. — Chciałbym — zwrócił się Norton do portiera — ten sam pokój, który zajmowałem w zeszłym roku.

— Proszę bardzo. Czy pan pamięta numer?

— Owszem: 1105.

Grzeczny uśmiech portiera zniknął. — Przykro mi, jest zajęty.

Alec zbliżył się do tablicy, na której widniały nazwiska klientów i wskazał palcem numer 1105 obok, którego był napis „wolny".

Portier zaczerwienił się i krzyknął: — Gus! Zaprowadź pana do pokoju 1105!

Winda zawiozła ich na jedenaste piętro. Korytarz był słabo oświetlony, dywan na podłodze tłumił odgłos kroków. Dziennikarz zauważył w głębi korytarza drzwi z napisem: „Wyjście zapasowe".

Chłopiec położył walizkę i otworzył drzwi. Zapalił światło w pokoju.

Norton rozejrzał się wokoło i zapytał: — Proszę mi powiedzieć, czy coś nie jest w porządku w tym pokoju?

— Proszę pana — szepnął zapytany — nie spędziłbym tu nocy za żadne skarby świata. Proszę mnie o nic więcej nie pytać...

Norton został sam. Zaczął teraz oglądać pomieszczenie. Jedne drzwi prowadziły do łazienki, drugie na korytarz, trzecie do przyległego apartamentu, lecz te były zamknięte na klucz i zasuwkę.

Rozpakował walizkę i ułożył swe rzeczy w szafie. Potem wsunął się do łóżka, zgasił światło i zasnął.

Nie wiadomo co go zbudziło. Nagle usłyszał lekki szmer z wnętrza pokoju. Skoczył do kontaktu elektrycznego, lecz nim go znalazł, poczuł silne uderzenie w kark i czyjeś ręce zacisnęły się wokoło jego szyi. Kopnął napastnika w żołądek. Ucisk zelżał.

Gdy światło wypełniło pokój, dziennikarz zobaczył, że dywan był zwinięty, a na podłodze leżał mężczyzna i jęczał.

— Co tu robisz? — krzyknął Alec. — Czy ty zabiłeś Dianę Clark? Nieznajomy otworzył usta, z których wydobył się bełkot. Ten człowiek jest niemy — zdziwił się Alec.

W tym momencie mężczyzna zerwał się i uderzył Nortona w głowę. Dziennikarz zemdlał.

Gdy odzyskał przytomność już świtało. Stwierdził, że dywan był zwinięty, a meble odsunięte od ściany. Widocznie szukano czegoś w kątach pokoju.

Alec przeszedł do łazienki i wziął prysznic. Wkładając płaszcz kąpielowy usłyszał szmer w pokoju. Zajrzał przez szparę w drzwiach i zobaczył, że jakaś młoda i przystojna brunetka klęczała na podłodze i badała jej zakamarki.

Otworzył szeroko drzwi. Kobieta krzyknęła. Następnie podniosła się szybko i rzekła: — Przepraszam, pomyliłam pokoje. Widocznie mój klucz pasuje do pana drzwi. — To mówiąc wybiegła na korytarz.

Norton nie usiłował jej zatrzymać. A więc w ciągu kilku godzin dwie osoby wtargnęły do tego pokoju i czegoś w nim szukały!

Zamówił telefonicznie śniadanie. Za kilka minut wszedł kelner z tacą i gazetą. Alec wyciągnął z kieszeni pół dolarową monetę. Lecz gdy ją podawał kelnerowi, pieniądz upadł na podłogę. Chłopiec klęknął. — Zaraz ją znajdę, proszę pana. — Po minucie wykrzyknął: Wpadła pod kaloryfer. Ale to nie jest moneta — zauważył zdziwiony.

— Pokaż mi — rzekł Norton.

Był to czarny krążek wielkości monety półdolarowej. — Czy widziałeś to kiedyś? — zapytał dziennikarz.

— Ten krążek? Nie widziałem. Czy pan myśli, że to może być jakiś dowód?

— Kto wie?... Alec schował krążek do kieszeni.

Gdy kelner wyszedł Alec zaczął przeglądać gazety. W dziale kroniki przeczytał: „Martin Stacy został wczoraj aresztowany. Jest podejrzany o zabójstwo malarki Diany Clark". Dalej następował opis wydarzeń.

Norton chciał porozmawiać z personelem hotelu. Idąc w kierunku windy spotkał pokojówkę.

— Dzień dobry pani — rzekł uprzejmie. — Jak się pani nazywa?

— Mary Chester.

— Mieszkam w pokoju 1105. Czy pani sprzątała pod kaloryferem? Dziś rano znalazłem tam coś. — Wyjął z kieszeni krążek. — Czy to pani zgubiła?

— Nie, nie widziałam tego. Pod kaloryferem sprzątałam przed przyjazdem pani Clark. Czy pan jest policjantem? Tydzień temu opowiedziałam policji to co wiem, lecz mi nie uwierzyli.

— Co pani im mówiła?

— Niech pan mnie zostawi w spokoju!

— Czego się pani boi?

— Boję się tego człowieka.

— Kogo? Jak się nazywa?

— Leo Bendam. Powiedziałam już za dużo!

Wyszedłszy do miasta Alec odszukał redakcję gazety Pearson City Star, gdzie poprosił o materiały dotyczące Diany Clark. Między wycinkami znalazł taki, który go zainteresował: „Mary Chester, pokojówka w hotelu Westmore, twierdzi, że zabójcą pani Clark jest kobieta. Widziała jak morderczyni wychodziła z pokoju malarki około północy, przebiegła korytarz i zniknęła za drzwiami zapasowych schodów. Kobieta miała na sobie szare futro". Na kartce ktoś dopisał czerwonym ołówkiem: „Nie drukować".

Alec wziął wycinek i udał się do kronikarza. — Dlaczego to nie zostało opublikowane? — zapytał.

— Takie jest zarządzenie naczelnego redaktora. Podobno uległ życzeniom Leo Bendama.

— Znów Bendam! Cóż to za diabeł?

— To jest człowiek, który panuje nad miastem. Przez jego ręce przechodzi wszystko: gry, zakłady, handel bydłem, handel trunkami.

— Czy także policja? — zapytał Norton.

Kronikarz roześmiał się i nic nie odpowiedział.

Następnym krokiem Nortona była wizyta u panny Jane Stacy, siostry aresztowanego.

Drzwi otworzyła mu pokojówka. — Przychodzę w sprawie Martina Stacy. Proszę mnie zameldować pani.

Nie czekał długo. Za chwilę weszła do saloniku Jane. Zatrzymała się w progu przerażona. Była to ta sama kobieta, która szukała czegoś w jego pokoju hotelowym. Alec pokazał swój bilet wizytowy.

— Poluje pan na ciekawostki dla swego dziennika?

— Niezupełnie. Chcę wyjaśnić pewne ciemne historie, które dzieją się w tym mieście.

— Spóźnił się pan. Sprawa Diany Clark jest już zamknięta. Orzekli, że Martin jest mordercą.

— Jestem przedstawicielem Zjednoczonej Prasy i mogę w każdej chwili odwołać się do opinii publicznej. Nie pozwolę, aby ci panowie zrobili z Martina kozła ofiarnego!... A teraz proszę mi powiedzieć: co pani robiła dziś rano w moim pokoju?

Jane uśmiechnęła się. — Gazety podały, że w czasie napadu na Dianę w jej pokoju rozegrała się walka. Dywan był zwinięty, jakby zbrodniarz czegoś szukał. Może to był zgubiony kolczyk, czy guzik — coś co mogłoby dowieść niewinności Martina. Nie wiedziałam, że pokój jest wynajęty.

Alec wyciągnął z kieszeni czarny krążek. — Oto co znalazłem pod kaloryferem.

— Nie wiem, co to jest.

— Ciekawi mnie jak zareaguje Forbes, gdy mu pokażę ten krążek. Pójdę zaraz do niego. Do zobaczenia i proszę nie tracić nadziei!

Alec wyruszył na poszukiwanie taksówki. Zauważył, że ktoś go śledzi. Nagle poczuł, że jakieś silne ręce chwyciły go za łokcie i pchały w kierunku samochodu stojącego o kilka metrów dalej. Z samochodu wychylił się mężczyzna i wciągnął go do środka. Auto ruszyło. Przy kierownicy siedział „niemy". Mężczyzna obok dziennikarza był to typ o silnej budowie, szpakowatych włosach, czerwonej twarzy. Przyglądał się bacznie Nortonowi. — Dlaczego zajmuje się pan sprawą Diany Clark? — zapytał.

— Jestem dziennikarzem i przygotowuję artykuł na temat zbrodni. A pan nazywa się pewnie Leo Bendom?

— Istotnie. Tutejsza prasa i policja respektują moją opinię. Pańskie intrygi, panie Norton przeszkadzają mi. Mam nadzieję, że namówię pana do opuszczenia Pearson City.

— Czy pan sądzi, że wezmę na serio pańskie gadanie?

Leo Bendam westchnął. — Chce pan koniecznie robić z siebie bohatera. Jednak radzę: pierwszy samolot do Nowego Jorku odlatuje jutro o godzinie 17. Proszę skorzystać! Max, otwórz drzwiczki samochodu!

Norton znalazł się na jezdni. Czarny Cadillac odjechał.

Następnego dnia rano Alec udał się do kancelarii adwokackiej „Kimball and Stacy". — Czym mogę służyć — zapytał adwokat.

— Chciałbym poznać Daniela Forbesa.

— Mieszka dość daleko. Mogę pana do niego zawieźć.

Podczas drogi dziennikarz zapytał:

— Czy Forbes mieszka sam?

— O nie! Ma drugą żonę i córeczkę.

— Niech pan mi powie, kogo chciała poślubić malarka?

Dokończenie nastąpi

Lewym okiem

RÓWNOUPRAWNIENIE KOBIET

Sześćdziesiąt lat temu wychodził w Warszawie, pozostającej pod carskim zaborem, miesięcznik „Ster", poświęcony równouprawnieniu kobiet. Było to świetne czasopismo; z satysfakcją czyta się dziś jakże odważne na tamten czas wystąpienia w takich kwestiach jak prawa wyborcze, świadome macierzyństwo, wychowanie seksualne. Proszę zważyć: rok 1910, inna epoka, absolutnie inny krajobraz społeczny, a poglądy zupełnie jak nowe!

Nie wiem, czy o którymkolwiek z dzisiejszych naszych czasopism będzie można za pół wieku powiedzieć, że było pionierem jakiejś sprawy, że torowało nowe drogi ku coraz lepszemu urządzeniu życia na ziemi. Czyżby wszystkie sprawy były już na wiek wieków załatwione, już nic nie zostało do zrobienia? Nic nie wymaga poprawy? Wszyscy są już zadowoleni ze wszystkiego i jeżeli jeszcze chodzi o coś w publicystyce, to tylko o „remonty bieżące", czyli o konserwowanie w stanie użytkowym tego co jest. Żeby kran nie przeciekał i żeby istniejące przepisy były naprawdę przestrzegane. To jest ogromnie ważne, tylko że nie ma w tym drożdży, impulsu, zaczynu na przyszłość. Może to z tej atmosfery biorą się frustracje młodych ludzi?

W zapale walki o najszersze prawa kobiet, autorki „Steru" — a były wśród nich głośne i po dziś dzień wspominane nazwiska Budzińskiej-Tylickiej, Bujwidowej, Romany Pachuckiej — dawały się czasem ponosić w regiony nie całkiem słuszne i rzucały hasła, których realizacji każda z dzisiejszych pań gorzko by chyba żałowała. Taka neoficka gorliwość jest zresztą zrozumiała i jeśli śmieszy „późnych wnuków", to przecież nie śmiechem kostycznym, ironicznym, tylko takim z pozycji starszego o półwiecze, trochę lepiej wiedzącego. Oto co myślały na przykład wojujące polskie sufrażystki o modzie:

„Tkwi w tym niezawodnie pierwiastek poniżający, to nie ulega najmniejszej kwestii, bo faktem jest, nawet w stosunkach rodzinnych, że czego od męża, tego pana ustanowionego kobiecie przez kościół i tradycję, nie wyjedna zaniedbana baba, to zawsze zrobi starannie ubrana i miła żona. Strojenie się kobiet stanowi smutny objaw, lecz do czasu konieczny, zło, które radykalnie przeciętym zostanie dopiero wtedy, gdy społeczeństwo przyzna nam prawo do życia na równi z mężczyzną i gdy od niego nie będziemy potrzebowały zdobywać kokieterią tego, co nam się słusznie należy".

Dziś cała nasza prasa codzienna, w okresie nadzwyczaj ważnych i zasadniczych wydarzeń politycznych na całym świecie, znajduje mimo to miejsce, żeby na pierwszych stronach, pod dużymi nagłówkami publikować przez tydzień komunikaty o odbywającym się w Łodzi kongresie mody. Kto by śmiał twierdzić, że strojenie się kobiet stanowi smutny objaw poniżenia kobiety? Skazania jej na kokieterię, która nie przystoi pełnoprawnemu członkowi społeczeństwa?

Przecież dopiero wyzwolone, równouprawnione kobiety pokazały, co potrafią w zakresie strojenia się. Nie potrzebują już prosić mężusia przy użyciu różnych przyuczonych sztuczek zalotności o grosiwo na haleczkę, spodnium i sztuczne rzęsy. Zarobią same. I popatrz — okazuje się, że cała ta zalotność widocznie nie była potrzebna wyłącznie do drenowania mężowskich kieszeni. Że jest jeszcze jednym dobrym, naturalnym prawem kobiety, na które zresztą nie narzekamy. Całe szczęście, że w tym przedmiocie emancypantki sprzed pół wieku nie osiągnęły celu. Chwała emancypantkom!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki. Zam. 509. H-4.